

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Stefania Sempołowska – „Czarna Nike”

Prekursorka działań antyrepresyjnych w Polsce

Stefania Sempołowska – „Czarna Nike”
Prekursorka działań antyrepresyjnych w Polsce
2024, Wrocław

<http://lewicowo.pl/list-otwarty-w-sprawie-wiezniow-politycznych/>,
<https://crispa.uw.edu.pl/object/files/260234/display/JPEG>
Tytuł oryginalny: *”Z dna nędzy”* 1909 oraz *”List otwarty w sprawie więźniów politycznych”* 1926, Redakcja: Wolna Biblioteka. Grafika na okładce: No Bonzo. Wydawnictwo Wolna Biblioteka. Skład: dzięki uprzejmości pl.anarchistlibraries.net

pl.anarchistlibraries.net

2024, Wrocław

Spis treści

Stefania Sempołowska – „Czarna Nike” prekursorka działań antyrepresyjnych w Polsce	3
WSTĘP	4
Z DNA NĘDZY	9
I. Niezawodny przytułek.	9
II. Starość bezdomna.	11
III. Choroba i śmierć.	14
IV. Dzieci więzienne.	17
V. prostytutki.	19
VI. Sylwetki.	25
VII. My i one.	32
LIST OTWARTY W SPRAWIE WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH	35

**Stefania Sempołowska –
„Czarna Nike” prekursorka
działań antyrepresyjnych w
Polsce**

WSTĘP

„Celę IV zowią zwykle „celą kryminalistek”. W ciągu dwumiesięcznego mego pobytu w areszcie policyjnym, przekonałam się, że nazwa ta nie odpowiada zupełnie rzeczywistości. Kryminalistki spotyka się w więzieniu śledczym na „Serbji”, w ratuszu stanowią małe odsetki – tu męczy się tłum aresztowany na ulicy, to sala nędzy ulicznej.”

Tak o areszcie w warszawskim ratuszu pisała Stefania Sempołowska w 1908r. Aktywistka społeczna miała już za sobą pobyt we wspomnianej „Serbji” – oddziale kobiecym więzienia Pawiak (gdzie była przetrzymywana Róża Luksemburg). Te doświadczenia na całe życie wyznaczyły jej cel działań: walkę o wolność dla więźniów i więźniarek – głównie politycznych, poprawę warunków w zakładach zamkniętych, prowadzenie działań antyrepresyjnych, pomocy prawnej i finansowej. Wspierała wszystkie te osoby, które doświadczały represji za swoją działalność, ale także z powodu pochodzenia, ponieważ ogrom jej pracy był poświęcony uchodźcom, a także działaniom antyrasistowskim oraz przeciwko rodzącemu się antysemityzmowi.

Stefania Sempołowska nigdy nie wstąpiła do żadnej partii. Uważana była za przedstawicielkę skrajnej, radykalnej lewicy. O sobie pisała „Jestem rewolucjonistką z temperamentu, a tradycjonalistką z upodobania”. „Żyła tak jak chciała, i tak, by wyrazić swym życiem najpełniej siebie” – napisała o niej Maria Dąbrowska. W swojej działalności współpracowała z osobami z ruchu socjalistycznego, a później także z komunistami (zwłaszcza związanymi z Rosyjskim Czerwonym Krzyżem).

W tym zinie przedstawiamy dwa teksty Stefani Sempołowskiej:
„Z dna nędzy” – reportaż z aresztu w warszawskim ratuszu z 1909r. oraz „List otwarty w sprawie więźniów politycznych” z 1926r.



Te pytania rodzą się w mej duszy, gdy dziś stykam się z więźniami politycznymi.

Rodzą się nie tylko z sentymentu i uczuć humanitarnych, ale i z głębokiej troski o kulturę i przyszłość Polski.

Zwracam się z nimi do Pana, Panie Marszałku, do Pana, Panie Ministrze Sprawiedliwości, boście Panowie władni i odpowiedzialni.

Stefania Sempołowska

Sierpień 1926 r.

Niniejsza wersja bazuje na pierwotnej edycji broszurowej z roku 1926, poprawiono pisownię według obecnych reguł.

Pierwszy tekst to reportaż z jej trzy miesięcznego pobytu w areszcie, gdzie trafiła w 1908r. za działalność w Uniwersytecie Dla Wszystkich – uczelni dla robotników i robotnic. Bezpośrednim powodem aresztowania było jej wystąpienie w Londynie, na którym krytykowała prześladowania polskich nauczycieli i nauczycielek w zaborze rosyjskim. Cała jej działalność oświatowa (wcześniej nielegalna) była mocno radykalna. W artykule *Wczoraj i jutro w wychowaniu* („*Nowe Tory*” 1906r. nr 7) domagała się uwspółcześnienia treści nauczania szkolnego i uwolnienia go od wszelkiego dogmatyzmu, proponowała także (*O udziale młodzieży w radach pedagogicznych*, tamże nr 1) uczestnictwo samych uczniów w „kierownictwie i odpowiedzialności za życie szkoły”. Promowała antyklerykalizm, potępiała nacjonalizm.

Ponieważ jej działalność oświatowa była ceniona przez inteligencję socjalistyczną otrzymała wsparcie adwokackie i udało jej się opuścić areszt, a jej reportaż został opublikowany w całości w wydawnictwie „*Prawda*” w tygodniku polityczno-społeczno-literackim ruchu robotniczego.

Drugi tekst to „*List otwarty w sprawie więźniów politycznych*” z 1926r. skierowany do Józefa Piłsudskiego i Wacława Makowskiego (ministra sprawiedliwości), w którym potępia represje polityczne dotykające różnych grup społecznych: „Żyjemy pod podwójnym terrorem: władz policyjnych ograniczających naszą swobodę i pod terrorem opinii prawicy ferującej wyroki o prawomyślności obywatelskiej. Mniej boimy się naszego sumienia obywatelskiego, które nakazuje nam podnieść głos w obronie poszanowania praw państwowych, niż tego, że ze strony prawicy paść na nas może podejrzenie o sprzyjanie wyjętym spod prawa komunistom, Żydom, Ukraińcom itd.”

W liście oskarża władze polskie o represje większe niż w dyktaturach zaborczych oraz o skandaliczne warunki w więzieniach, tortury, zeznania pod przymusem, samowolę naczelników, głód czy utrudnianie dostępu organizacjom pomocowym. Jest to niezwykle odważny głos ujawniający nadużycia władzy niepodległej lecz okrutnej dla własnych obywateli. Władzy, która czyniła dzielić społeczeństwo na lepszych i gorszych. Pisała: „kilkudziesięciu chłopców i dziewcząt w wieku lat 17-20 przesiedziało w więzieniu prewencyjnym przeszło 2 lata, a ówczesny Minister Sprawiedliwości p. Wyganowski uspokajał mnie, twierdząc, że 90% tej młodzieży nosi nazwiska żydowskie.” czy „na wiosnę 1925 r. w czasie pokoju i spokoju aresztowano w trzech województwach kresowych 5200 chłopów białoruskich i ukraińskich. Przeszli oni tortury policyjnych badań śledczych, po kilku lub kilkunastu przeszło miesiącach 9/10 zwolniono jako niewinnie aresztowanych, reszta

czeka sądu!” Sempołowska odrzuca usprawiedliwienia patriotyczne i od nowego rządu wymaga naprawy sytuacji.

Tekst ten pierwotnie ukazał się w postaci broszury, wydanej nakładem autorki i był nielegalnie rozpowszechniany, uległ konfiskacie. Ponownie wydany w 1960r. pod redakcją Anieli Steinsbergowej.

Oprócz aresztowania w 1908r. Stefania Sempołowska była przetrzymywana w więzieniu w 1899r. gdzie trafiła za udział w demonstracji socjalistycznej na pogrzebie Jana Tańskiego. W jej mieszkaniu natomiast znaleziono nielegalne wydawnictwa socjalistyczne. Została oskarżona o zorganizowanie demonstracji na pogrzebie Bolesława Hirszfelda, oraz o nielegalną działalność oświatową. Zwolniona została ze względu na stan zdrowia, który został potwierdzony przez znajomego lekarza. Po zwolnieniu wznowiła działalność edukacyjną. Między innymi uczyła kobiety w Warszawie, czy na wsi, wykładając na kursach oraz organizując wiejskie biblioteczki.

Stefania Sempołowska całe życie zajmowała się edukacją, jednak jej doświadczenia po zatrzymaniu rozpoczęły nową ścieżkę aktywizmu: była to pomoc więźniarkom i więźniom. Jej działalność polegała nie tylko na publikacji tekstów dotyczących bezpośrednio więźniów i więźniarek, ale ogólnie pojętym aktywiźmie antyrepresyjnym, dlatego możemy określić ją jako prekursorkę dzisiejszych niezależnych ruchów antyrepresyjnych.

W 1905r. powołała z mecenasem Stanisławem Patkiem – *Koło Obrońców w Sprawach Politycznych*, z biurem w Warszawie, gdzie zdobywała środki na pomoc dla uwięzionych i ich rodzin, na łapówki dla urzędników więziennych i sądowych. Pomagała więźniom skontaktować się z rodzinami i obrońcami. Sempołowska pomagała wszystkim, którzy się zgłosili, jednak najwięcej kontaktów miała z represjonowanymi członkami PPSu i skrajnej lewicy. W 1908r. represje policyjne uniemożliwiły jej działalność, więc zmieniła nazwę swojej organizacji na *Pomoc Uwolnionym z Więzień*, jednak w 1911r. została aresztowana, a mecenas Patek stracił prawo wykonywania zawodu.

Po wybuchu I Wojny Światowej utworzyła Biuro Porad dla Uchodźców. Włączyła się także w działania niepodległościowe. Starła się m. in. przeforsować antyhierarchiczność w zarządzaniu szkolnictwem powszechnym poprzez oddanie władzy samorządom szkolnym, jednak nie udało jej się.

W czasie Wojny także walczyła o prawa więźniów, interweniowała w obronie aresztowanych przez Rosjan, przez okupacyjne władze niemieckie

wśród swego narodu. Czyż te same dążenia mogą być poczytywane za zbrodnię w Polsce obywatelom innej narodowości? Czyż więźniowie ci nie są Panu towarzyszami po broni i braćmi po duchu? Czy nie obejmuje ich Pan braterskim uczuciem i szacunkiem?

A jeśli są Panu obcy i wrodzy – w co nie mogę uwierzyć, sądzę, iż tylko zapomniani – ale jeśli są obcy i wrodzy, czy chce Pan ze względu na Rzeczpospolitą i Jej przyszłość, aby odbywali oni szkołę obywatelską w więzieniach Rzeczypospolitej?

Czy tak mało wierzy Pan w siły tej Rzeczypospolitej, którą Pan trudem Swym i męką Swą budował, iż uważa Pan za konieczne dla Jej utrzymania środki gwałtu i terroru, stosowane do Jej wolnych obywateli?

Czy imię Pana, to imię sztandarowe nie tylko dla dzisiejszego Rządu, ale i dla Niepodległej Rzeczypospolitej, czy to imię ma się w historii łączyć nie tylko z chwałą dni Zmartwychwstającej Polski, ale i ze wspomnieniami ucisku i terroru, jakimi Polska dzisiejsza traktuje tysiące obywateli, wyjętych spod prawa za swe idee polityczne, wierzenia społeczne, dążenia narodowe?

Panie Ministrze Sprawiedliwości – był Pan ongi obrońcą politycznych więźniów [mowa o Wacławie Makowskim – przyp. redakcji Lewicowo.pl], nawet wtedy, gdy ideały bojowców, ideały socjalistów, nie były już Pana ideałami. I Pan zna psychologię więźnia politycznego, i Pan nie wierzy, wierzyć nie może, że więzieniem, represjami zwalczyć można idee, które poczytuje Pan za błędne, więcej, za zgubne.

Jeśli Pan w to nie wierzy, to czym jest w Pana rękę system sprawiedliwości panujący dziś w Polsce? Jest systemem zemsty, przez nowoczesną kryminalistykę potępionym bezwzględnie.

Stoi Pan na straży sprawiedliwości i konstytucji. Czy i nadal w Polsce bardziej nad nie poważany być musi kodeks carski? Okupanci niemieccy zmieniali go śmiało wedle potrzeby. Czyż władze polskie szanują go tak głęboko, że ilekroć zmuszone są wybierać między naruszeniem konstytucji lub kodeksu carskiego – stają zawsze na stanowisku nienaruszalności postanowień i ustaw carskich (lub zmian niemieckich)?

Czy to olbrzymie więzienie, jakie uczyniono z Polski Niepodległej jest w zgodzie z prawem obywatelskim i konstytucją? Czy jest ono w zgodzie z hasłami, w imię których padły tragiczne ofiary w dni majowe? Czy jest w zgodzie z ideą rewolucji moralnej i odrodzenia moralnego, pod którego hasłem powstał Rząd, w którym Pan reprezentujesz prawo i sprawiedliwość? Czy jest ono wreszcie w zgodzie z Pana sumieniem prawnika? polityka? obywatela? człowieka?

Wieloletnia praca wśród więźniów politycznych związała mnie z nimi na zawsze.

Nie pytałam nigdy o ich przekonania polityczne. Kochałam i szanowałam to, co stanowi ich wspólną cechę bez względu na przynależność partyjną: ofiarną ideowość, śmiałość lotu i dążenie ku świtom lepszego jutra.

Szczęśliwą byłam, że praca moja pozwalała mi stykać się z bohaterstwem w życiu, że pozwalała mi stykać się z wielu bojownikami o wolność. Chodziłam niejako w ślad za nimi, zbierając na ówczesnych polach walk:

wśród murów więziennych i u stóp szubienic, walk tych ofiary

Mam żywo w pamięci ludzi, zdarzenia i ducha czasów.

Może i niejednen z tych, co się ocierał o moją pracę, pamięta ją jeszcze i ducha jej rozumie.

PANIE MARSZAŁKU,

PANIE MINISTRZE SPRAWIEDLIWOŚCI,

Panie Marszałku, był Pan tyle razy więźniem politycznym, byli nimi Pana towarzysze i przyjaciele. Interesował się Pan niegdyś żywo losem więźnia politycznego. Zna Pan jego duszę. Wie Pan najlepiej, że więzieniem, męką można zabić ciało człowieka, ale nie zwalczy się, nie zabije idei: szczepi się tylko barbarzyństwo i podłość wśród prześladowających, hartuje siły ideowe męczenników. Szkło od uderzeń kruszy się, ale stal nabiera twardości.

Walka i męka odstrasza i zniechęca słabych, pociąga i zapala silnych i szlachetnych.

Towarzyszów Pana nie przerażała szubienica i katorga, tą drogą wróg mógł ich zabić, ale od idei nie odstręczył.

Przed laty trzydziestu i Pan głosił konieczność walki z kapitalizmem o dyktaturę proletariatu. Czy pragnie Pan, czy może Pan zezwolić, aby dziś wyznawcy tych samych ideałów w nowej ich interpretacji ginęli w wolnej Polsce za te hasła?

Przecież to też te ptaki, o których Pan z rzewnym uczuciem mówi, że wylatują może za wcześnie, może w złą drogę wylatują, bo... nie mogą siedzieć nad błotem. Przecież to też te ptaki, co okiem szukają na niebie zorzy, o której nikt nie wie jeszcze, czy jest zorzą wieczorną, za którą przyjdzie noc, czy zorzą poranną, zwiastującą świt i dzień jasny.

Tysiące chłopów białoruskich, ukraińskich i litewskich (stanowią 2/3 więźniów politycznych w Polsce) zapełnia nasze więzienia i ginie w tych więzieniach za ideę niepodległości narodowej, za hasła i dążenia, którym Pan oddał życie w ofierze, które Panu przyniosły nie tylko trud i mękę, ale i najwyższe szczęście obywatelskie i chwałę osobistą i prawa wyjątkowe

i austriackie, działaczy Polskiej Organizacji Wojskowej. Miała wielkie nadzieje wobec Piłsudskiego, które jednak szybko prysły.

W okresie Polski niepodległej, w 1920r. otrzymała uprawnienia Rosyjskiego Czerwonego Krzyża do opieki nad jeńcami i więźniami sowieckimi w Polsce. Występowała także publicznie w obronie internowanych Żydów. Przeprowadzała inspekcje więzień i obozów internowanych jeńców rosyjskich tworząc formalne raporty. W 1921r. brała udział w działaniach repatriacyjnych współpracując z KPP. Była uważana za jedyną w Polsce osobę, która chce występować w obronie i opiekować się więzionymi komunistami. Od 1931r. utraciła część uprawnień i działała głównie indywidualnie i w charakterze osoby prywatnej.

Sempołowska miała duży autorytet oraz posiadała sporo znajomości i przyjaźni, dzięki którym udawało jej się zdobywać prawo wstępu do najcięższych nawet więzień, pertraktowania z władzami więziennymi, osobistego przedstawiania skarg najwyższym podmiotom państwowym. "Trzydzieści jeden lat pracuję wśród więźniów politycznych. Długoletnia ta praca daje mi nie tylko prawo mówienia o tej sprawie, ale wkłada na mnie obowiązek mówienia o niej publicznie, mówienia do tych, którzy w tej sprawie są władni." Oprócz komunistom, pomagała też Ukraińcom i Białorusinom podejrzanym, czy oskarżonym o działalność antypaństwową. "Kochałam i szanowałam to, co stanowi ich wspólną cechę bez względu na przynależność partyjną: ofiarną ideowość, śmiałość lotu i dążenie ku świtom lepszego jutra." Działalność dla idei nie była dla niej zbrodnią lecz czynem pozytywnym. Jako jedyna wniosła w r. 1922 do Prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego prośbę o ulaskawienie Eligiusza Niewiadomskiego, zabójcy prezydenta Gabriela Narutowicza.

W 1925r. w Londynie wystąpiła przeciw stosowaniu w Polsce kary śmierci. Od 1926r. walczyła o amnestię dla więźniów politycznych.

W 1937r. wszczęto śledztwo o działalność wywrotową Sempołowskiej, jednak otrzymała ona olbrzymie wsparcie polskiej inteligencji.

Po wybuchu II Wojny Światowej ukrywała się ponieważ była poszukiwana przez Gestapo, mimo to, oraz mimo, że była już po 70tce wciąż prowadziła swoje działania, m.in. pisząc do Stalina o uwolnienie aresztowanych polskich intelektualistów we Lwowie. Zaangażowała się w pomoc Żydom po utworzeniu getta w Warszawie. Sama udzielała schronienia, organizowała dokumenty ratujące życie, czy bezpieczne miejsca. Zmarła w 1944r. w Warszawie.

Wolna Biblioteka
Wrocław 2024

ŹRÓDŁA:

<https://www.ipsb.nina.gov.pl/a/biografia/stefania-aniela-sempolowska-1869-1944-dzialaczka-pisarka>

<https://histmag.org/Nike-ktora-sie-nie-wahala.-Stefania-Sempolowska-1869-1944-21598>

<http://lewicowo.pl/rozmowa-ze-stefania-sempolowska-o-getcie-lawkowym/>

<http://lewicowo.pl/list-otwarty-w-sprawie-wiezniow-politycznych/>

<https://repozytorium.ka.edu.pl/server/api/core/bitstreams/b3e2863c-4757-4c85-bb5f-69d42be82bf7/content>

kilkudziesięciu chłopców i dziewcząt w wieku lat 17-20, przesiedziało w więzieniu prewencyjnym przeszło 2 lata, a ówczesny Minister Sprawiedliwości p. Wyganowski uspokajał mnie, twierdząc, że 90% tej młodzieży nosi nazwiska żydowskie.

Zaostrzono surowość wyroków z artykułu 102 przez stabilizowanie reformy okupantów niemieckich, znoszących możliwość stosowania kary twierdzy z tego artykułu (przy czym możliwe jest zaliczenie aresztu prewencyjnego w poczet wyroku).

W stosunkach więziennych dokonano już kodyfikacji praw. Wszystkie najdokuczliwsze regulaminowe paragrafy z trzech zaborów wybrano i rozciągnięto na możliwie duże terytorium.

W więziennictwie trudne są tylko zmiany regulaminowe, gdy chodzi o ulgi; władze nie wahają się nigdy wobec możliwości obostrzeń.

W stosunkach więziennych i sądowych jest źle, jest coraz gorzej, bo najwyższe władze centralne, nie chcąc tego zła widzieć, ośmielają tym nadużycia, utrwalają błędy.

Ostatnim ministrem, który nie lękając się głosu Dwugroszówki [chodzi o „Gazetę Poranną 2 grosze” – tani, napastliwy brukowiec pravicowy – przyp. redakcji Lewicowo.pl] postępował tak, jak mu rozum, moralność ludzka i obywatelska nakazywała, był minister Sobolewski: ścigał on przestępstwa popełnione w stosunku do więźnia, bo ten nie przestawał być dla Niego człowiekiem i pełnoprawnym obywatelem. Świetlana postać ministra Sobolewskiego jest dziś tylko legendą.

O olbrzymiej liczbie więźniów politycznych da pojęcie kilka dat cyfrowych: na wiosnę 1925 r. w czasie pokoju i spokoju aresztowano w trzech województwach kresowych 5200 chłopów białoruskich i ukraińskich. Przeszli oni tortury policyjnych badań śledczych, po kilku lub kilkunastu przeszło miesiącach 9/10 zwolniono jako niewinnie aresztowanych, reszta czeka sądu!

W miesiącu kwietniu 1926 r. aresztowano 1379 osób podejrzanych o przestępstwa polityczne.

Od dnia 1 czerwca 1925 do dnia 1 czerwca 1926 sądy osądziły 2431 osób oskarżonych o przestępstwo polityczne, w tym samym czasie aresztowano nowych 6757 osób.

Człowiekowi, który ma dobrą wolę zobaczenia sprawy, cyfry te i dane wystarczą dla zrozumienia, że w tej dziedzinie naszego życia dzieje się coś nienormalnego, zbrodniczego, coś, co się utrwała jako system i grozi życiu kulturalnemu, obywatelskiemu i państwowemu.

Zwalcza się nie tylko odwieczne w tradycji więziennej stanowisko starostów, ale i komunę żywnościową. W warszawskim więzieniu kobiecym ukarano karcerem (mimo interwencji prokuratora Rudnickiego) dziewczęta, które w wigilię Bożego Narodzenia podzieliły się żywnością z towarzyszkami, które tej żywności nie otrzymały.

Pomoc materialną, dawaną więźniom politycznym, poczytuje się za działalność antypaństwową i ściga sądownie: w Łodzi toczył się proces młodzieży oskarżonej o dawanie pomocy więźniom, a prokurator lubelski w procesie przeciw działaczom spółdzielczym sformułował jako zarzut przestępstwa politycznego posłanie przez to towarzystwo w Boże Narodzenie – chleba do więzienia, dla więźniów w ogóle, bez pominięcia komunistów. Wbrew chrześcijańskim zasadom: „głodnego nakarmić, więźnie cieszyć” (Mowy obrończe adw. Śmiarowskiego).

Władze więzienne samowolnie i bezkarnie zaostrzają wyroki sądowe już to strasznymi warunkami higienicznymi, rujnującymi zdrowie więźnia (śmiertelność w więzieniu na Św. Krzyżu wynosi 33% rocznie; mimo opinii Komisji sejmowej dotąd więzienie jest czynne), już to skazując na stałe męczarnie, spowodowane tysiącnymi rozporządzeniami, drobnymi, lecz dokuczliwymi. W b. więzieniach pruskich skazują więźnia na długoletnią absolutną izolację i beczynność w maleńkich celach mających 4-5 metrów kw. Młody Kałuża w przedśmiertnym liście zaznacza, że błagał na próżno o przeniesienie go do celi ogólnej, odbiera sobie życie, nie mogąc dłużej żyć w tych warunkach. W wielu więzieniach około 6 godz. po południu odbiera się więźniom odzież, zmuszając (przeważnie młodych chłopców) do leżenia 13-14 godzin, bez względu na mękę i ciężkie zboczenia psychologiczno-fizjologiczne, jakie to zarządzenie wywołuje. Wobec przeludnienia więzień kresowych pousuwano z cel prycze i ławy, pozbawiając więźnia przez miesiące, lata możliwości siedzenia itd., itd., itd.

Stałe zaostrzanie regulaminu wywołuje w więzieniach walkę, więźniowie wobec obojętności władz wyższych bronią się jedyną bronią, jaką posiadają: głodówką. Głodówki są stale na porządku dziennym życia więziennego (w czerwcu r. b. – zatem już po przewrocie – było 7 głodówek: w Białymstoku, Kołomyi, Krakowie, Nowogródku, Lublinie, Lwowie Wilnie). Często powodem głodówki jest przewlekanie spraw sądowych.

Areszt prewencyjny niesumiennie, zbrodniczo przeciąga się w nieskończoność: doszliśmy w apelacji wileńskiej w sprawie Michajłowa do rekordowego okresu – 4 lat prewencji nie zaliczonej w poczet wyroku. Sąd nie zna tu żadnych uwzględnień: uczestnicy tzw. Zjazdu Młodzieży Komunistycznej –

Z DNA NĘDZY

Stefania Sempołowska

WARSZAWA

Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8. 1909.

Musi mieć inną szalę Twoja waga, Inaczej byłoby zbyt smutno... do dna.
Staff.

A końcem jego będzie kaźń i kraty, Gdy los łaskawszy, szpital i przytułek – Oto są błędne, beznadziejne kwiaty, Które wyklęty hoduje zaułek.

Staff.

I. Niezawodny przytułek.

Areszt policyjny w ratuszu przedstawia się moim oczom jako dno nędzy. *Lumpen-proletariat* znany nam tylko z opowieści lub krótkiego przelotnego zetknięcia – tu współżyje z nami w całej swej moralnej i materialnej niedoli, nagością, swoją krzyczący. Wszystko tu głośno olbrzymi głos „wyklętych wyrzutków, których pięść krzywdy w twarz bije zniemacka”.

Okropne obrazy przesuwają się jak sen nigdy nie zapomniany.

Sceną, na której rozgrywały się przed moimi oczyma co dzień, co chwila nowe tragedje, to IV-a cela na oddziale kobiecym. „Sala” wielka, brudna, źle oświetlona, zimna i wilgotna. Jedna ściana ocieka wprost wilgocią, przylegając do t. zw. (w ratuszowym języku) „Dumy”, po której ścianach dla porządku dniem i nocą spływa woda. Wielką izbę źle ogrzewa jeden piec, często zimny zupełnie, bo węgiel, gdzieś w drodze do tego pieca ginie. W zamian za to, aby w sali było ciepło, okna są szczelnie zabite.

Okna te małe, brudne, zakratowane, okapem zasłonięte, niewiele dają, światła. Wieczorem salę zalegają, ciemności, których rozproszyc nie może jedna mała, kopcząca lampka, umieszczona wysoko w oknie wiodącym na korytarz. Lepiej to może, że obraz tej izby w mroku ginie, traci na ostrości; wygodniej śpiemy, nie oglądając go dokładnie.

Środek izby zajmuje ogromna prycza, na niej leżą sienniki, zawsze w ilości mniejszej niż liczba aresztantek; na podłodze pod ścianami i w przejściu szereg sienników, zajętych przez stare i chore aresztantki, które na wysoką pryczę dostać by się nie mogły. W izbie niema ani ławki, ani stołka (o męce, jaką sprawia niemożność siedzenia — dobrze wiedzą ci, którzy dłuższy czas w areszcie policyjnym spędzili). Powietrze jest tak mroczne, ciężkie, wilgotne, nieczyste, że wchodzący w pierwszej chwili nie rozoznaje dobrze przedmiotów, a jednostki o wrażliwszym powonieniu i słabych drogach oddechowych duszą się lub dostają mdłości.

W sali (w której w zimie uniemożliwiono wietrzenie przez zabicie okien) przebywa przeciętnie 25 — 45-ciu kobiet! Czuć tam pot, brud i wszelkie wyziewy ludzkie.

W starym budynku brak wszelkich udogodnień, koniecznych dla higieny i porządku — poza tym jeszcze aresztantki są wprost pozbawione możliwości utrzymania osobistej czystości. W więzieniu niema nie-tylko wanny, ale nawet umywalni; myć się można tylko na korytarzu przechodnim — pod zlewem, ale do tego mycia brak im mydła i ręcznika (ofiarowane aresztantce mydło, umożliwiające jej wypranie koszul i wymycie rąk — przyjmowane jest jak skarb). Ogół aresztantek nie myje się wcale, uważa to za przywilej „politycznych”; — poprzestają na rzadkim zresztą chodzeniu do łaźni. Grzebień w areszcie policyjnym należy do przedmiotów nieprawdopodobnego zbytku. Gdy pierwszy raz zwróciłam na to uwagę, na 38 kobiet żadna nie miała grzebienia, a ofiarowane przez

B. Prusa kilka tuzinów grzebieni musiałyśmy rozdawać b. oszczędnie, by na dłużej starczyły. Młodsze „elegantki” przyczesują się grzebykami, służącymi zazwyczaj do podpinania fryzur, starsze nie czesze się wcale. Roją, się też od robactwa głowy i odzież aresztantek, sienniki, prycze, nawet podłoga więzienna.

Ogół aresztowanych na ulicy nie ma bielizny na zmianę, siedzą w tych brudach przez kilka tygodni, w tej samej koszuli, której dla braku mydła wyprać nie mogą. Brak der zmusza do sypiania w ubraniu; o nędzy tych łachmanów mówić nie potrafię.

Wiele z pomiędzy starych kobiet *nie może* lub nie chce się podnosić z siennika, załatwia wszystkie potrzeby fizyczne leżąc na swym barłogu, pot ym leży w mokrej i cuchnącej odzieży, na mokrym i cuchnącym sienniku. Podłoga w celi bezustannie zmoczona i brudna. Do okropnego odoru niemało też przyczyniają się drewniane „parasze”, które na noc wstawiają do celi (cela w nocy jest zamknięta, dzwonka w niej niema). Raz w nocy słyszałam jak aresz-

prawy, lecz ten, kto świadomie, celowo ukrywając zło, utrwała je i pomaga jego rozpowszechnieniu.

Władze nasze robią wszystkie wysiłki nie dla zwalczenia zła, lecz dla ukrycia go.

Jest źle, jest niewypowiedzianie źle i uważam za obowiązek obywatelski powiedzieć tę prawdę głośno.

Aby twierdzenie moje nie wydało się gołosłownym sądem, przytoczę tu kilka charakterystycznych faktów.

Bicie więźniów politycznych, zdarzające się tak często, nieomal powszechnie w aresztach i biurach policji, jako sposób wymuszania zeznań przy pierwiastkowym śledztwie — zdarza się i powtarza w różnych więzieniach sądowych, jako wynik dozwolonego gwałtu nad opornym więźniem. W więzieniach b. zaboru pruskiego bicie więźniów po twarzy jest na porządku dziennym.

Więzień polityczny, który w więzieniach carskich wywalczył sobie szereg praw zabezpieczających poszanowanie jego godności osobistej, dziś musi te walki toczyć na nowo. Nie chciał ongi wstawać przy wejściu prokuratora i innych przedstawicieli władz, dziś nakazują mu stać na baczność wobec munduru administracji więziennej, a opornych w tym względzie karze się ciemnicą. W więzieniach warszawskich po 1905 r. polityczni więźniowie karze karceru nie podlegali; dziś, gdy karze tej, stosowanej z dziką samowolą naczelników więzienia, z pominięciem wymaganych regulaminem oględzin lekarskich i rejestracji tych kar, więzień poddać się nie chce, stawiających opór na Pawiaku ściąga się ze schodów za nogi, obtłukując głowy i plecy o żelazne stopnie. We Wronkach więzień wchodzący do kancelarii, obowiązany jest w tym przybytku stać cały czas twarzą do ściany, choćby był profesorem i nosił tytuł doktorski (w b. zaborze pruskim tytuł ten jest specjalnie szanowany).

Przy stałym głodzie w więzieniach tysiącem nowych przepisów utrudnia się dostarczanie żywności z zewnątrz. Władze sądowe konfiskują na rzecz kosztów sądowych pomoc dawaną głodnemu i choremu więźniowi przez instytucje humanitarne (drobne zapomogi dawane przez Czerwony Krzyż chłopom ukraińskim więzionym od 1920 r., pieniądze złożone przez Patronat dla posła Łańcuckiego na leczenie zębów itd.).

Zmniejsza się z każdym rokiem prawa szeroko niegdyś uprawnionego Patronatu (niedopuszczanie delegatek Patronatu do więźniów śledczych, tj. często przez dwuletni okres czasu).

nający się wolności obywatelskiej w Polsce. Cichy głos starca brzmi jak odległe wspomnienie innych czasów, innych światów i nie obowiązuje jego towarzyszy.

Juliusz Kaden-Bandrowski i redaktor „Głosu Prawdy” zerwali z tchórzliwym milczeniem, postawili krok pierwszy. Niemalę na to potrzeba było odwagi cywilnej. Kroki ich jednak nie były śmiałe i zdecydowane: wypowiedziały dużo mniej niż gorące serce i bystry umysł artysty mówił w głębi duszy, dużo mniej niż mówiło obywatelskie sumienie redaktora-patrioty.

Ostatnio pod odezwą domagającą się oswobodzenia więźniów politycznych i szanowania swobód obywatelskich, wśród wielkiej liczby podpisów przedstawicieli organizacji mniejszości narodowych i robotniczych – figurują podpisy kilku śmiałych intelektualistów polskich: prof. R. Minkiewicza, prof. dr. Z. Radlińskiego, dr. Ettingera i szeregu dziennikarzy i literatów.

Chwila dla podjęcia sprawy jest odpowiednia. Żyjemy przecież jeszcze wspomnieniami dni majowych, przewrotu głoszącego ideę sanacji stosunków politycznych, „rewolucję moralną”.

Trzydzieści jeden lat pracuję wśród więźniów politycznych. Długoletnia ta praca daje mi nie tylko prawo mówienia o tej sprawie, ale wkłada na mnie obowiązki mówienia o niej publicznie, mówienia o tych, którzy w tej sprawie są władni.

Obowiązek to ciężki i smutny, bo mówiąc dziś o więźniu politycznym w Polsce, trzeba powiedzieć rzeczy przebolesne.

Liczba więźniów politycznych na terytorium Rzeczypospolitej jest tak wielką (przeszło 6000) – jaką nie była od dni rewolucji 1905-1906 roku; a że w tej chwili w Rzeczypospolitej nie ma, nie było rewolucji, nawet wrzenia politycznego, które by mogło usprawiedliwić nadzwyczajne miary poczynania władz bezpieczeństwa – trzeba stwierdzić fakt, iż w demokratycznej Rzeczypospolitej Polskiej represje polityczne przerastają normalne represje stosowane przez despotyczne rządy zaborcze.

Trzeba powiedzieć, że położenie więźnia politycznego w dzisiejszych więzieniach polskich jest gorsze, bardziej dokuczliwe, niż było w więzieniach carskich w Warszawie po 1905 roku.

Słowa te brzmią strasznie, ale jeśli się gorąco, niekłamanie chce, aby było lepiej – trzeba mieć odwagę spojrzeć prawdzie w oczy, poznać ją, stwierdzić i zwalczyć. Trzeba skończyć z tym systemem, iż dla rzekomego ukrycia prawdy przed zagranicą, należy ją ukrywać przed własnym społeczeństwem. Szkodnikiem obywatelskim jest nie ten, kto podnosi głos, nawołujący do po-

tantki dobijały się do drzwi przez długi czas – nie zdołały jednak zbudzić śpiącej na odległym korytarzu dozorczyńni. W tych *samych paraszach* przynoszą wodę gorącą do mycia podłóg.

Wobec takich warunków niczym są już braki łyżek, noża, naczyń do picia (wodę pija się z kranu ustami), niemożebność porządnego wyszorowania miski metalowej (z której jadają) bez piasku, ściereki, wody gorącej.

Aresztantki otrzymują rano chleb czarny, dwa razy dziennie gorące jedzenie: śniadanie i obiad oraz wodę gorącą na herbatę.

Te które herbaty nie posiadają, piją dla rozgrzania się czystą wodę. Jedzenie przynoszą w drewnianych naczyniach. Nie mogłyśmy rozstrzygnąć, czy naczynia te, czy też samo jedzenie ma silny, bardzo przykry kwaśno-gryzący zapach – w każdym razie tak silny, że na czas wydawania jedzenia zamykałyśmy szczelnie drzwi naszej celi na korytarz, otwierając jednocześnie okno, aby nie zatruwać powietrza w naszej celi.

W takich warunkach lokalnych siedzą, zamknięte aresztantki bez zajęcia. Zgnębione swą, niedolą, jedyną, rozrywkę znajdują w opowiadaniach najczęściej smutnych lub strasznych. Natłoczone, potykające się jedna o drugą, obce sobie, o odmiennych upodobaniach, sprzecznych często interesach, w natłoku, w złych warunkach fizycznych, zdenerwowane życiowymi klęskami i przymusową beczynnością, – co chwila prawie wpadają w kolizje. Cały też dzień słyhać w celi wymyślanie, kłótnie, nierzadko płacz i razy. Ileż ulgi doli ich przyniosłoby jakiegokolwiek zajęcie. Ogół aresztantek chętnie chwytą podsuwaną im pracę, o ile nie jest ona przymusową pracą dla więzienia. Te, które umieją czytać, nawet w tych niedogodnych warunkach czytywały pożyczane im książki o treści lekkiej i łatwej formie. Chętnie też szyły, robiły szydełkiem i t. p. zwłaszcza jeśli mogły pracować dla siebie (szyć koszule, obrębiać rękawki, chustki, robić ciepłe włóczkowe rękawki, stopy i t. d.) lub wyrabiać coś na sprzedaż. Widziałam jednak i takie, które bardzo chętnie szyły dla słabszych, biedniejszych.

Męką aresztantek jest brud, męką jest natłok, lecz bezsprzecznie i męką straszną jest beczynność.

II. Starość bezdomna.

Celę IV zowią zwykle „celą kryminalistek”. W ciągu dwumiesięcznego mego pobytu w areszcie policyjnym przekonałam się, że nazwa ta nie odpo-

wiada zupełnie rzeczywistości. Kryminalistki spotyka się w więzieniu śledczym na „Serbjin, w ratuszu stanowią małe odsetki;—tu męczy się tłum aresztowany na ulicy, to sala nędzy ulicznej.

Podzielić je można z gruba na kilka grup: starszki, prostytutki i jednostki aresztowane na skutek zajęć, zatargów z policją. Stare kobiety „babiny” stanowią olbrzymi procent aresztantek policyjnych, a w miesiącach zimowych stanowią czasem więcej niż połowę uwięzionych. Słabe ptaki padają na mrozie. Bezsilne, samotne, bezdomne, bez środków do życia, wreszcie bez... papierów,—aresztowane przez policję na ulicy, osadzone w ratuszowym areszcie, zwykle wysyłane po tym etapie na miejsce urodzenia.

Nędza i nieszczęście starości. Wiele z tych kobiet nie ma sił o własnej mocy przejść przez korytarz więzienny, do aresztu wprowadzają strażnicy wspierając je. Pada taka babina na siennik i leży cicho, na-wpół umarła. Zarząd więzienia próbuje umieścić je w przytułku — niema miejsc. Wiozą do szpitala jednego, drugiego, — lecz i tam niema miejsc. Widziałam tak bezsilną starszkę, że strażnicy nieśli ją przez korytarz na sienniku, umieszczono ją w szpitalu.

W dwa dni odesłano ją z powrotem do ratusza: nie była przecież chorą, była tylko starą. Więc leży taka biedota po kątach, na brudnych siennikach, aż przyjdzie dzień oznaczony, podniosą, pomogą wstać i wiozą do etapowego więzienia, gdzie czeka na wysyłkę do miejsca urodzenia. Co to kogo obchodzi, że obdarta, bosa, o własnej sile iść nie mogąca, nie rozumiejąca często, co do niej mówią; że tam dokąd ją wiozą nie ma nikogo, nie zna nikogo; cóż to kogo obchodzi, jak ona tam żyć będzie. „Miłosierna Warszawa” oczyszcza się z nędzy ulicznej.

Nie patrzmy na te twarze znękanę, na te stare i bezsilne członki, bo może nam przyjść na myśl, że ludzkim prawem istotom tym należy się opieka; nie patrzmy na te ręce od pracy zgrubiałe, bo mogłoby nam się zdawać, że społecznym prawem należy im się odpoczynek.

„Pani droga, mówi do mnie jedna, mam 68 lat, pracować już nie mogę, dzieci nie mam, cóż ja mam robić? muszę żebrać”.

„Ciężkie czasy przyszły, mówi druga, wyjdzie człowiek na ulicę, aby grosz uprosić, policja łapie. Z czegoż ja mam żyć sierota”? „Mąż ślepy, ja chora, skarży się inna,—poszłam ludzi prosić, upadłam na ulicy, podnieśli, do szpitala oddali—a teraz do ratusza na dwa tygodnie „odsiadki” za żebranie. Jak tu żyć! Śmierć brać nie chce, a ludzie żyć nie dają”.

Biedne suche wierzby, których gałęzie zielenią się jeszcze mimo starości!

Żyjemy pod podwójnym terrorem: władz policyjnych ograniczających naszą swobodę i pod terrorem opinii prawicy ferującej wyroki o prawomyślności obywatelskiej.

Mniej boimy się naszego sumienia obywatelskiego, które nakazuje nam podnieść głos w obronie poszanowania praw państwowych, niż tego, że ze strony prawicy paść na nas może podejrzenie o sprzyjanie wyjętym spod prawa komunistom, Żydom, Ukraińcom itd.

Wytworzyło się i upowszechniło przekonanie, przez grupy prawicowe inspirowane, iż nie ma strasniejszego przestępstwa, strasniejszej zbrodni narodowej, niż przekonania komunistyczne. A przecież w całej Europie zachodniej partia komunistyczna działa legalnie, traktowana jako wroga pewnym grupom społecznym, pewnym partiom politycznym, pewnym kierunkom rządowym, ale przynależenie do tej partii nie jest poczytywane za zbrodniczy stan. U nas wyznawców tej idei wyjęto spod prawa, a spychając do podziemi nielegalniejszy, wynaturza się często ten ruch.

Ludzie słabi i tchórzliwi w obawie opinii — milczą.

Gdzie głos odważny, który, nie lękając się tej opinii, śmiało przemówił w Polsce w obronie nie tylko umęczonych, ale i w obronie duszy polskiej?

Milczy Polska Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela, powołana zda się do walki z gwałceniem praw wolnościowych i ludzkich. Nie podniosła dotąd nigdy głosu publicznie w sprawie ucisku narodowościowego, wyznaniowego i politycznego, nie zaprotestowała nigdy przeciw sądom doraźnym i karze śmierci.

Tak samo milczy Polska Liga Wolności i Pokoju. W kraju wiodą one bierny żywot, zajmują tchórzliwe, milczące stanowisko, poprzestając na występach i udziale słownym w kongresach międzynarodowych.

Milczy Patronat — półrządowy obrońca więźniów.

Milczy Koło byłych obrońców politycznych. Milczy wobec przesuwanych wyroków towarzyszy ich byłych prac, wobec nadużyć władz więziennych, sądowych i administracyjnych. Milczy wobec tej parodii amnestii, mogącej z 6000 więźniów politycznych powrócić wolność („objąć łaską”) około 60 osobom, pozostawiającej możliwość zapewnienia tej luki nowymi aresztami.

Nieśmiało zabrzmi czasem głos Towarzystwa Byłych Więźniów Politycznych, których przywódcy zabezpieczeni się dziś czują ze względu na swe przekonania polityczne.

Czasem tylko czcigodny starzec, zawsze wierny hasłom wolnościowym, senator Limanowski, zapominając o czasie, miejscu, o współczesnych nastroskach, o audytorium, do którego przemawia — podnosi głos szczerze dopomi-

więźniowie polityczni – wobec akcji tej stoją biernie. Albo nie widzą jej, albo zbywają wyrazem „agitacja bolszewicka” – jakby w Polsce dążenia wolnościowe, narodowe i społeczne mogły czerpać swe źródła tylko w ZSRR. Nie widzą w tej rozwijającej się akcji ocknienia się, protestu społecznego przeciw gwałceniu wolności obywatelskiej, jak nie czuły w gwałcie i terrorze strasznej krzywdy, grożącej nie tylko wydziedziczonym klasom i narodowościom, ale wraz z nimi całemu społeczeństwu, całemu organizmowi państwowemu.

Sprzeczny z prawami konstytucji, straszny, duszący łańcuch represji politycznych dławi nasze życie duchowe.

Nie tylko tysiące ludzi męczy się w więzieniach polskich (przeszło 6000 więźniów politycznych) za niezależność swych myśli, wierzeń i dążeń, ale miliony karleją duchowo, poprzestając tylko na formalnej wolności.

Dopóki więzienia nasze są pełne więźniów politycznych, dopóki agencji defensywy (często pracownicy dawnej ochrony rosyjskiej lub pruskiej Feldpolizei) – są cenzorami naszych myśli, sędziami naszych obowiązków obywatelskich, panami naszego losu – wszystkie opowiadania o swobodzie są płytkim beztreściwym frazesem. Duch nasz tkwi dotąd w pętach carskich, płaszczy się pod butem pruskim. Dusze nasze snadź nie wyrwały się na wolność, bo kto jest wolny nie siebie niewoli, na gwałcie się nie opiera, nie lęka się ducha wolności. Terror polityczny zabił w nas resztkę odwagi cywilnej, śmiałości myśli, jakie pozostawiły w nas lata niewoli.

Nie wiem, czy jest gdzie na świecie naród, społeczeństwo, wśród którego odważa cywilna byłaby przymiotem tak wyjątkowym, jak u nas.

Cichą, bezsłowną umową rządu i „sfer miarodajnych” uznano więźnia politycznego w Polsce za obywatela wyjątkowo podległego, za którym ujmować się nie przystoi dobremu obywatelowi; uznano system represji politycznych za konieczność państwową.

W rozmowach prywatnych spotyka się często polityków zawodowych, nawet dostojników państwowych – mających tysiące wątpliwości lub wręcz głębokie przeświadczenie o mylności i zgubności dotychczasowej polityki rządowej: nieposzanowania swobód politycznych, ucisku narodowościowego, spychania w podziemia nielegalności partii politycznych, gwałcenia ustaw konstytucyjnych. Jedni ze stanowiska prawnego i kulturalnego, inni ze stanowiska politycznego – potępiają dotychczasową politykę.

Ale głośno tego nikt nie mówi.

Pojmując, wiedząc, że polityka terroru, stwarzania z Rzeczypospolitej obrzymiego więzienia, jest polityką mylną, barbarzyńską, barbarzyństwo sięgającą – ale milczą. Boją się opinii.

Słyszając te skargi, patrząc na te łachmany ludzkie, myśląc o tym, co dalej z nimi będzie, przypomiinałam sobie, że podobno... gdzieś w Indostanie u buddystów szanują żebractwo. Ale my jesteśmy cywilizowani. Na przytułki dla starców nas jeszcze nie stać¹, nie stać nas jeszcze na emerytury starości – ale żebrać u nas już nie wolno. Chronią nas od mogącego oszukać żebractwa. Tak, sama widziałam w ratuszu względnie młodą żebraczkę, przy której w czasie rewizji policja z oburzeniem znalazła aż 26 rb. Kawał grosza! Co prawda żebraczka ta była... ślepa. Tak, ale inne?... Przecież nie wszystkie są ślepe, nie wszystkie chore, a że są ślepe na duszy, że chore na nędzę życia, to dojrzeć trudno. Na szczęście w Warszawie nie wolno żebrać!

U niektórych dzikich ludów obowiązek moralny nakazuje zabijać starców; my, bardziej cywilizowani, jako ostatnią zdobycz życiową dajemy im areszt, policyjne więzienie. A przecież raz, kiedy użalałam się nad ich niedolą, jedna rzuciła mi okropne słowo: „lepiej tu niż w domu – mniej biją, jeść dają”. Beznadziejne tragedie starości. Niema dla niej miejsca na świecie: ani w kółku rodzinnym, ani w szpitalu, ani w przytułku – areszt miłosiernie przytuli, przygarnie na chwilę, potem rzuci etapom na pastwę. Czasem od etapu ratuje śmierć.

...„dobry Boże, gdy się zdarzy dzień zropaczenia, z którego nie wstaną,, Daj im łaskę, to szczęście nędzarzy, Daj im śmierć nagłą, i niespodziewaną,”...

Przychodzi do aresztu cicho i niepostrzeżenie zabiera ofiarę. Nikt nie spostrzeżga, że z pośród tłumu żywych, ubył jeden człowiek, jedno życie, że skończyła się męka jednego nędzarza.

W ratuszu są, jednak ręce, które niosą tym starcom pomoc, ręce naprawdę miłosierne (miłosierniejsze od tych co grosz rzuca,, trudy urzędzenia balu ponoszą.) to ręce towarzyszek niedoli, aresztantek, ciemnego tłumu dziewcząt o których rozpaczamy, że nikt nie rozwinął, ich uczuć, nie wychował ich duszy, a na barki których, w instytucji społecznej zwanej aresztem policyjnym – spada ciężar opieki nad starcami, ciężar, który społeczeństwo z siebie zrzuciło.

Na korytarzu więziennym często rozlega się krzyk, wymyśli młodych na „stare baby”, na ich niedołęstwo, nieporządek. Często słyszałam nawet żałosny płacz bitych staruch. Czy można się jednak dziwić, że dziewczęta niechętnie obsługują, obce im kobiety, że gniewa je „nieporządek” bab tak dotkliwie

¹ Mimo, że sprawozdawca „Kurjera Warszawskiego” tak często chwali miłosierdzie tych, którzy litościwie,, tańczą na rzecz przytułków dla starców.

dający się odczuć wszystkim mieszkankom aresztu? Gniew jednak stygnie prędko, jedna drugą, uspokaja słowami „I my będziemy stare”. Natomiast ileż razy widziałam młode aresztantki spełniające najniższe posługi przy starych: myły zavalane ciała; czesały rojące się od robactwa głowy, wspierały chwiejące się na nogach, podawały jedzenie, karmiły, ratowały chore, zebrały od nas ubranie dla obdartych.

My względnie do nich zamożne, inteligientki, wychowane przez dom i szkołę, uważane przez władze za „społecznicze”, „polityczne”, - ofiarowywałyśmy czasem na ręce młodej porządkowej resztki obiadu, rosół, chleb biały, oddawałyśmy to... co pozostawało po zaspokojeniu naszych apetytów; — one są zawsze niedostatecznie, lichy odżywiane, a przez cały czas nie zdarzyło mi się spostrzec ani razu, aby która z nich sama

zjadła powierzona- jej żywność. Oddawały je zawsze tym, które w ich przekonaniu najwięcej jej potrzebowały.

Nie roztkliwiała się sentymentalnie, jak my, nad nieszczęściem starych, walczyły z nimi nieraz o swoje prawo bytu, traktowały je często z grubiaństwem ludzi prostych, bez wychowania, — ale one jedne dość były ludźmi, aby traktować „te stare” szczerze po ludzku.

III. Choroba i śmierć.

Drugą kategorię, bardzo zresztą do pierwszej zbliżoną, stanowią chore, podniesione przez policję na ulicy. I dla nich niema miejsca w szpitalu. Jeden obraz utkwił silnie w mej pamięci, jakąś straszną siną grozą. Policja podniosła na ulicy nieprzytomną kobietę. Było podejrzenie, że to pijana, więc z cyrkułu przewieziono ją do ratusza, do aresztu. Była duża, bezwładna, ciężka. Strażnik nie mógł jej unieść, ciągnął przeto po ziemi (robił to zresztą możliwie delikatnie). Twarzy nie widziałam, oczy moje uderzyły tylko sine, nabrzmiałe nogi, które widać było z pod ściągniętej spódnicy. Złożono ją w kącie na sienniku. Felczer przyniósł jakieś krople. Chora i nazajutrz nie odzyskała przytomności, leżała milcząca, straszna, nieruchoma, z na wpół otwartymi oczyma, nie mogła przełknąć podanej jej czarnej kawy, nie reagowała na eter; już rano była tak martwo trupia, że brakło odwagi do rozcierania jej nóg i rąk. Pozostawiono ją leżącą w kącie a wokoło wrzał krzyk, rozmowy, kłótnie. Około godziny 4 po południu, gdy niedzielne widzenia spotęgowały gwar, chora umarła. Zwłoki przeniesiono pośpiesznie

LIST OTWARTY W SPRAWIE WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH

Od kilku tygodni na całym obszarze państwa polskiego mniej lub więcej liczne bezimienne tłumy proletariackie podnoszą głos żądający oswobodzenia więźniów politycznych, nie jako amnestii, ułaskawienia — lecz jako wykonania praw konstytucyjną zagwarantowanych.

Odbывая się wiece, setki wieców; biorą w nich udział tysiące, dziesiątki, może setki tysięcy obywateli. Wiece te organizowane są przez stronnictwa chłopskie mniejszości narodowych i przez robotników, którzy ponad głowami przywódców partyjnych podają sobie ręce w imię hasła swobody i solidarności robotniczej.

Ten głos, podnoszący się od dołu społeczeństwa, mimo zakazów i represji szerzy się, idzie przez cały kraj wśród sfer pracujących.

Dzięki solidarności robotniczej przedostał się poza granice kraju, wywołał echo sympatii wśród demokratycznych społeczeństw Zachodu.

W Europie zachodniej (w Paryżu, w Essen, w Stopenbergu, w Langendreer itd.) mityngi robotnicze uchwalają wyrazy sympatii dla ofiar represji politycznych w Polsce. We Francji i w Niemczech powstały komitety mające na celu poparcie akcji wolnościowej w Polsce, a pod odezwaniami tych komitetów figurują nazwiska znanych świata bojowników o prawa ludzkie wśród ludzi: obok sędziwego prof. szwajcarskiego A. Forela, nazwisko wiernej, długoletniej przyjaciółki Polski: Madame Severine, nazwiska: Jerzego Davisona, Andrc Bertou, George Duhamel, Henri Barbusse, Karola Vildraci i dziesiątki innych intelektualistów europejskich.

U nas policja rozwiązuje te wiece, cenzura konfiskuje wiadomości o nich (wydawnictwo „Amnestia” wychodzi nielegalnie jako organ Międzypartyjnego Sekretariatu do walki o amnestię dla więźniów politycznych). Usiłuje się akcją całą zdusić i zabić milczeniem.

Sfery burżuazyjne, nawet tak zwana inteligencja, obojętne jak zwykle na sprawę mas chłopskich i robotniczych, z których przeważnie rekrutują się

Względem prostytutki jedyny nasz obowiązek, a może i jedyny ratunek: *dążenie do przywrócenia jej pełni praw ludzkich*, tych praw, których nikt nie odmawia jej współlucznikom. Wierzę, że uszlachetni jej życie nie wykazywanie jego „ohydy”, lecz pokazanie jej całego piękna i światła, jakie życie dać może; nie umieszczanie w zamkniętych przytułkach i domach poprawy, lecz odsłanianie przed nią widnokregu tak szerokiego, jaki oczy jej dojrzeć, a dusza objąć jest w stanie.

Jako wspomnienie dni ratuszowych stoją, przed oczyma dwa obrazy:

Z jednej strony lumpen-proletariat, gwałcący prawo społeczne, gdy wszystkie jego prawa *ludzkie* społeczeństwo zdeptało i zgwałciło. Z drugiej strony my, co współżyjąc z olbrzymią krzywdą ludzką, w pełnym hipokryzji milczeniu szczelnie zamykamy oczy: nie chcemy widzieć.

Lecz gdy na chwilę wzrokiem ją zmierzymy, usta szepczą bezwiednie słowa poety:

A mnie, o Panie, żywot bogobojny,
I nędzne cnoty me przebacz z litością,
I białe łoże, gdzie skonom spokojny,
I tych, co oczy mi zamkną z miłością.
Staff.

Stefania Sempołowska
1926

składając je..., w karcu⁷⁷. Nikt nie wiedział kto ona, nikt nie ratował jej życia i chwili śmierci nik nie zauważył...

Wydało mi się profanacja śmierci, ten zgon wśród brutalności życia więziennego, te zwłoki w karcu złożone. Są ludzie dla których niema spokojnego miejsca na świecie nawet w chwili ostatniej. Tuli ich miłosiernie areoszt ratuszowy. Była to niedziela — na widzeniu od naszych gości otrzymaliśmy kwiaty. Mimo sentymentalizmu żadna nie miała odwagi rzucić kwiatów na te zwłoki w karcu zamknięte. Kwiat mógłby uderzyć w nie jak urąganie.

Dwukrotnie w czasie mojego pobytu w ratuszu — przebywała tam w areście odsiadując karę — epiletyczka. Zwałyśmy ją — „siłaczką” — bo często opowiadała o swej niezwykłej sile, pokazując z dumą muskuły swych suchych rąk. Stale nerwowo podniecona, z obwiązaną głową, szukała ujścia dla swej chorobliwej energii. Nie zachęcana przez nikogo, nie wynagradzana za to, szorowała korytarze więzienne, robiła porządek w „Dumie”. To samo podniecenie, które gnało ją do ruchu, pracy, pchało ją i do awantur. W więzieniu szukała zwady z towarzyszkami; do więzienia dostawała się wskutek awantur ulicznych. A przecież dosyć było spojrzeć w jej oczy, usłyszeć jej głos, aby zrozumieć że to człowiek chory. W przytułku niema dla niej miejsca, ratusz przyjmie zawsze.

Wśród chorych najczęściej spotykałam warjatki. Czym jest warjatka w natłoczonej sali, czym jest życie nieszczęśliwej wśród tłumu areosztantek, łatwo sobie wyobrazić. Widziałam różne typy obłąkanych, jedne całymi dniami śpiewały, inne gadały powtarzając ciągle to samo, najliczniejsze jednak tonęły w smutku, zawodziły żałośnie dniem i nocą. Czy można się dziwić, że przygodne ich towarzyszki, gdy im chore ani spać, ani mówić, ani myśleć spokojnie nie dają — niecierpliwią się i biją je nawet? Czyż można się dziwić, że ciemne, nie rozumiejące choroby umysłowej, gniewają się lub szydzą? Jak często na moje tłumaczenie „ona chora”, odpowiadały mi „ale, chora! — je doskonale, udaje tylko głupią — nie chce powiedzieć kto jest”.

Jedna młoda żydówka dniami całymi krzyczała że chce iść do szpitala, z dumą, wołała „ja jestem war-jatka nie k . . . a”.

W szpitalu przyjąć jej nie chcieli z powodu braku miejsca, musiała w ratuszu czekać na etap (odstawienie warjatów na miejsce urodzenia, to środek zastępujący danie im opieki). Ile razy spotykała nas na korytarzu, z oburzeniem gwałtownym opowiadała zawsze: „więzienie nowe to budują, a szpitala to zbudować nie mogą”. Inna, przyprowadzona do ratusza leżała przez dłuższy czas cicho, milczała uparcie, nie chciała powiedzieć, jak się nazywa.

Po tym nagle zaczęła płakać; odtąd płakała godzinami całymi, głośno, żałośnie. Towarzyszki krzyczały na nią, biły ją, wypędały z sali, ona płakała wciąż, aż coś w duszy rwało się od skarg tego płaczu.

Życie w tej głośnej, gwarnej gromadzie musiało ją męczyć, prosiła bowiem, aby pozwolono jej siedzieć w korytarzu na schodkach. Sama obłąkana czasem błagała, aby ją zamknąć „w karcu”, tak nerwowo jej dokuczał tłum.

Oto jedna z okropnych scen na tle więziennego życia. Słyszę w IV celi krzyk jakiś cichy, płaczący, dziecinny, stłumiony głośnym śmiechem. Było w tym śmiechu coś tak strasznego, że pobiegłam zobaczyć, co się tam dzieje. W szarzącym zmroku zobaczyłam postać nagiej kobiety; stare, wychudłe, pochylone ciało, skurczone jakby się ukryć chciało i najmniej miejsca zając na świecie — ciało cuchnące uwalane okropnie. Poznałam starą siwą warjatkę, którą raz widziałam, gdy przechodząc przez korytarz upadła bezsilnie, a która od tygodnia leżała cicho pod piecem. Gnano ją wokoło pryczy, uderzając ze śmiechem od czasu do czasu. Krzyk mój uciszył śmiech, a w tej ciszy starszuszka skurczyła się jeszcze silniej — wlokła się na swój zawalany siennik. Dowiedziawszy się, że chcąc ją ukarać za nieporządek, ubranie jej (wyglądało ono jak podarty szynel żołnierski) wyrzuciły, zwróciłam się do aresztantek z propozycją, że przyniosę czystą bieliznę, aby która z nich zechciała starą, umyć i ubrać. Na to zerwała się siedząca dotąd spokojnie młoda dziewczyna: „Takie pani ręce jak moje! Dobrodzika! koszulę daje! dam tu 200 rb.—jeżeli pani ją. umyje i ubierze”. Umiałam tylko przyznać, że szukałam wśród nich lepszej od siebie, któraby się zdobyła na to, na co ja zdobyć się nie mogłam. Znalazły się 4 pary rąk gotowych do usług — może tych samych, które przed chwilą, wymierzały razy; 4 pary rąk, przed których gotowością służenia musiałam spuścić oczy—ja, która weszłam do celi, uczyć litości i miłosierdzia.

Wśród tej galerii warjatek widziałam dwoje dzieci. Józia 14—15 letnia, dawna uczennica gimnazjum kieleckiego, robiła wrażenie raczej dobrego, nierozwiniętego dziecka, nie warjatki. Ojciec (urzędnik w administracji rolniczej dużego majątku) umieścił Józję w Tworkach. Józia wyszła z siostrą dobrodziejką na spacer, a pozostawiona na chwilę sama w lesie, szła ciągle przed siebie, aż doszła do Warszawy. Mimo zimnych dni listopadowych, dziecko miało na sobie tylko koszulę, szlafrok szpitalny i pantofle. Policja zatrzymała ją i odstawiła do aresztu policyjnego. Dziecko było wyraźnie chore. Kilka razy dziennie krew rzucała się jej ustami, leżała przeważnie zimna i sztywna — czasem drzemała jęcząc głośno z powodu bólu głowy, chwilami tylko odzyskiwała przytomność. 1 znów trzeba bić się w piersi. My t. zw. polityczne, posądżane o walkę za prawa ludzkie człowieka, zdobyłyśmy się tylko

łatwo siłą przyzwyczajenia z drogi owej zejść, świadczyć może fakt następujący.

Jedna z naszych towarzyszek, ta która nie tylko czas swój, ale serce swoje niosła w ofierze, kiedyś weszła do celi naszej z radosną nowiną: „Udało mi się w IV celi wyłowić polityczną, przeniesiemy ją do celi dla politycznych”. Ta chęć zabrania politycznej z celi IV, było przecież ciężką, naszą winą wobec aresztantek, było rzuceniem im w twarz, że w głębi duszy uważamy je za takie niskie, niegodne towarzyszki, że nie wchodząc w wartość człowieka, z góry rozstrzygamy o nim wyrazami „polityczna”, prostytutka”. A przecież to był pierwszy odruch. Dopiero rozmyślenia, dyskusje doprowadziły do wniosku, że trzymanie się w oddzielnej celi możemy i wobec nich i wobec siebie usprawiedliwić tylko jednym: przyzwyczajeniem do pewnych warunków lokalnych życia, skutkiem czego nie istnieje dla nas możliwość życia tam, gdzie one (z innymi przyzwyczajeniami) żyć jeszcze mogą. Takie może być jedyne usprawiedliwienie — podziału na kategorie: politycznych i prostytutek.

Stosunek nasz do prostitutek nie był prosty, był sztucznie stwarzany, obmyślony, celowy, był on przedmiotem częstych wśród nas dyskusji. Zdania ścierały się, Jedne z chrześcijańską, siostrzaną miłością chciały się zbliżyć, aby „upadłe” podnieść, umoralnić, chciały korzystać z każdej okoliczności, z każdego zdarzenia aby pomóc, ratować; starały się w rozmowie poruszać kwestję ich życia, aby poznać nieszczęście, z którym chciały walczyć, i jednocześnie otwierać oczy tamtych na stronę moralną ich życia, na „jego ohydę”, na jego krzywdy.

Inne odrzucały drogę umoralnienia nie tylko dla tego, że nie wierzyły w jej skuteczność, że nie przyznawały sobie t. j. obcym i obojętnym ludziom prawa wchodzenia w życie osobiste jednostki ludzkiej, lecz z jednej strony bały się dotykania przedmiotu, który mógł być bołączką duchową, a z drugiej strony w życiu prostytutki widziały nie winy, lecz krzywdy. Chciały swój stosunek do prostytutki upodobnić do stosunku z wszystkimi innymi ludźmi; jeśli stawiały sobie cel jakiś, to danie im możliwości życia, (choć przez te chwil kilka), życiem normalnych ludzi.

Osobiście stoję na tym drugim stanowisku. Zbliżając się do prostytutki—silniej niż litość, czuję wstyd osobisty, współodpowiedzialność za krzywdę jej wyrządzaną. Za krzywdzicieli uważam nie tylko kupującego ją mężczyznę, nie tylko wyzyskujących ją pośredników, ale całe społeczeństwo, gdy za nawias ludzkości usuwa tę, której usług jedni żądają, a inni te żądania tolerują. Zdaje mi się, że walka z prostytutką to nie pogardzanie prostytutkami, lecz szczerzenie poszanowania ducha ludzkiego, szczerzenie kultu miłości.

VII. My i one.

Tradycja dzikiego, wiekami uświęconego stosunku społeczeństwa do najniższej jego służki, parjasa, prostytutki, odbijała się na naszych stosunkach do młodych towarzyszek z IV celi. Stosunek ten nie był nigdy prostym, zwykłym stosunkiem człowieka do człowieka, byt on zawsze stosunkiem prostytutki do nieprostitutki i odwrotnie.

Większość prostytutek przywykła patrzeć na siebie jako na coś małego, nikłego, z pokornym schyleniem głowy usuwając się z drogi „uczciwej”, „porządnej”, „nieprostytucie”. Uważając za coś nadzwyczajnego traktowanie ich jako ludzi, ciesząc się nawet formami grzeczności. Oto kilka drobnych scen. Żegnając na korytarzu młodzieńką Z. idącą na etap, ucałowałam jej stroską twarzyczkę. Po chwili dziewczyna zastukała jeszcze do moich drzwi: przysłała mi podziękować, że pocałowałam ją „przy wszystkich”.

Rozmawiającej z nami H. podałyśmy, częstując ją, pudełko ze smażonymi kasztanami. H. przyjęła to bardzo poważnie: uroczyście wzięła szczypczyki, rozszerzyła je, włożyła w nie kasztan i szczypcami zaniosła go do ust. Wszystko to robiła z namaszczeniem. Scena była długa, milcząca. Natychmiast, bezpośrednio po tym, H. zaczęła nagle opowiadać nam, jak raz w aptece i raz w cyrkule, wzięto ją za „porządną”, jak z nią „poważnie” jeden pan rozmawiał. To podanie jej cukierków w pudełku, jak zwykłemu gościowi, przypomniało jej jedyne widocznie dwie chwile w życiu, gdy ją potraktowano tylko jak człowieka, nie jak prostytutkę.

U ogółu zabito już wszelką wiarę w duszę własną (czy może być większa krzywdą!). Raz jednej z dziewcząt ofiarowałam biały kwiat. Powstał szyderczy śmiech: „prostytucie—biały kwiat niewinności”. Mimo mej woli, nie skończyło się na obronie białych kwiatów, które niekoniecznie mają symbolizować niewinność, rozmowa przeszła na temat niewinności i tego, czy z życia zewnętrznego można przesądzać o niewinności duszy. Rzucenie tego pytania na razie wywołało milczenie, ale po tym słyszałam na korytarzu rozprawę nad tą kwestją. Ogół poruszał ją ze śmiechem.

U pewnej, niewielkiej zresztą liczby prostytutek wyczuwało się jakąś dumę, godność osobistą. Te dumne odnosiły się do nas najczęściej wrogo, niechętnie. Zdawało mi się, że w tej niechęci był pewien rodzaj pogardy, pogardy jaką ma pokrzywdzony względem krzywdzicieli, uprzywilejowanych.

Trzeba wielkiej prostoty, wielkiej głębi prawdy duszy własnej, aby mimo wszelkich starych przesądów zachować zawsze ten stosunek prawdziwy. Jak

na dostarczenie dziecku ubrania i żywności, pozwalając chorej leżeć w celi IV dusznej, zimnej, wśród dziewcząt z których każda mimo woli zarazić ją mogła. Po kilku dniach naczelnik więzienia posłał Józię do szpitala na Pradze — tu poznano szlafrok z Tworek; szpital praski, nie przeznaczony dla warjatów, zawiadomił tylko Tworki o obecności Józi. Przyjechała siostra miłosierdzia (?), oddano dziecko w jej ręce. Szpital w Tworkach zawiadomił już był ojca chorej o jej ucieczce, ojciec miał się zgłosić do Warszawy, „nie warto było” dziecka zabierać do Tworek. Siostra była, według słów Józi, tak dobra, że dała strażnikowi 20 kop. aby odwiózł chorą „do policji”. I przez cyrkuł wróciła Józia do piekła ratuszowego, od którego, jak sama skarżyła się, pękała jej głowa.

W piekle tym chora spędziła znów dni kilka, zanim przez prywatne stosunki udało się umieścić ją w szpitalu u Jana Bożego.

Inne dziecko, to małeńka 5—6 letnia żydówka; zginęła na ulicy, lub zgubiono ją rozmyślnie. Oddziałowa przyprowadziła ją do nas do celi; litowano się zrazu serdecznie nad dzieckiem, współczucie ostygło—jednak bardzo, gdy się okazało, że dziecko jest niemową, może idjotką i że głowa jego pokryta parchami. „Nie podobno przecież narażać się na zarazę — biorąc dziecko do celi”. Niebezpieczeństwo zarazy przeto zjawiło się tam, gdzie w tłoku mogło być groźniejsze, spadło na towarzyszkę z IV celi, na nie też spadła odpowiedzialność i trudy opieki. Dziecko płakało dniem i nocą, jadło żarłocznie, lecz nie trawiło — narażając sąsiadki swe, obok zarazy—na brak spokoju i skutki nieporządku. Wymyślano na małą w IV celi, nazywano ją „żydówką, przybłądą, parszywą”, a jednak przez te kilka dni, zanim naczelnikowi więzienia udało się przy pomocy adwokatów umieścić dziecko w zakładzie dla niego odpowiedniejszym, niż areszt policyjny, zanim znalazł dla niego miejsce na świecie, dziewczęta z IV celi opiekowały się nią, myły, karmiły, prały odzież.

IV. Dzieci więzienne.

Głos dziecinny w ratuszu!

Z przerażeniem usłyszałam pierwszy raz i głos dziecka i tupot nóżek dziecinnych na korytarzu więziennym. A przecież tyle dzieci w różnym wieku od niemowląt do podlotków przesuwają się przez areszt policyjny. Jest on bowiem i domem wychowawczym dla dzieci *lumpen-proletariatii*. Wiele kobiet odsiadując karę policyjną, zabiera z sobą, do ratusza niemowlęta u piersi lub starsze dzieci, których niema gdzie, niema przy kim pozostawić. Nie ro-

rozumieją, one, że życie ratuszowe, jego atmosfera, obrazy, rozmowy, to coś, od czego należałoby dziecko za wszelką cenę uchronić, nawet wtedy, gdy dla niego obrazy ratuszowe • go życia niewiele się różnią od wspomnień życia domowego. Dziwne—te dzieci w więzieniu są ciche i milczące. Słyszałam często płacz niemowląt, rozmów jednak dziecinnych, gwarzenia, śmiechu dzieciniego nie słyszałam nigdy.

Oprócz dzieci, które towarzyszą matkom, spotyka się i dzieci samotne, dzieci opuszczone przez rodziców, osierocone, bez papierów itp.

Przez tydzień przebywała w areszcie dziewczynka 12 letnia, aresztowana na granicy, gdzie ją rodzice pozostawili wędrując w świat. Odstawiono ją do Warszawy, jako do miejsca urodzenia, a do czasu odszukania rodziny zostawiono w ratuszowym areszcie. Dziecko na szczęście zabrali polityczne do swej celi i (zwykle pomieszcza się takie dzieci w celi IV), otoczyły opieką tak pocziwą i serdeczną, że „nigdy i nigdzie nie było jej tak dobrze”. Poprzednio była w służbie w jakimś zajeździe, z ratusza wziął ją ktoś z rodziny. Czy też dziecku temu u krewnych, na swobodzie—życie da coś więcej niż to, co mógł mu dać areszt?

Do dzieci zaliczyć muszę matkę-dziecko, dziewczynkę 15 letnią, odesłaną do aresztu z przytułku położniczego, gdzie przechodziła połóg. Nieletnią oddano następnie pod opiekę policji, która ze swojej strony odstawić ją miała do rodziców. W ratuszu się działa, czekając na etap.

Żydóweczkę z małej mieściny w Kieleckim, oddano do Warszawy do służby. Tu syn gospodarza zgwałcił ją. Trudno nam było porozumieć się z nią, gdyż mówiła prawie wyłącznie żargonem, wogóle zaś * była mało rozwinięta, albo nawet zidjociała wskutek ostatniego przejścia. Tego co przeżyła, zdawała się nie rozumieć zupełnie, nie czuła ani wielkości, ani powagi, ani grozy przeżytych chwil. Nie trzeba chyba nawet zaznaczać, że uczuć macierzyńskich nie miała zupełnie. Narzekała tylko na jedno, że piersi ją bołą. Piersi te bardzo nabrzmiały, silnie rozwinięte, karykaturalnie wyglądały przy dziecinnej postaci. Zawsze cicha, bezmyślna, na nic się nigdy nie skarżyła, o nic nie upominała, o nic nie prosiła. Dwa razy tylko widziałam twarz jej rozjaśnioną uśmiechem: raz gdy dostała grzebień, aby mogła doprowadzić do porządku swoją wielką, roztarganą czuprynę (lusterko przyjęła obojętnie). Drugi raz, gdy dostała 50 kop. na drogę. Wszystkie aresztantki, młode czy stare otaczały ją specjalną opieką. Wszystkie czuły w niej pokrzywdzone dziecko. Nawet antysemityzm w tym wypadku przycichł zupełnie. Zwracały się do niej z serdecznym współczuciem. Jednocześnie z wszystkich ust padały gromy na głowę nieznanego krzywdziciela.

O samym swym aresztowaniu opowiadała też jakąś krwawy tragedję wśród zamętu, w której ją aresztowano. W nóż i jego potęgę H. wierzyła bezgranicznie. Wspominała nam nieraz, że gdyby chciała wrócić do fabryki, to „musieliby” ją przyjąć, choćby inne mieli oddalić. Na razie nie rozumiałam na czym opiera tę pewność i wiarę. Okazało się, iż H. wierzyła, że nóż i do fabryki wprowadzić ją może.

We flircie korytarzowym H. mało brała udziału; czasem jakby „dla szyku” rzucała przychodzącym mężczyznom trywjalne żarty, wybuchy dzikiego śmiechu; nie było w tym chęci podobania się, raczej jakieś cyniczne lekceważenie i pogarda. Natomiast, gdy raz jedna z politycznych przedstawiała jej w rzędzie krzywd życiowych prostytutki „brak jasnego szczęścia miłości” — H. z wybuchem śmiechu rzuciła w twarz przekonywującej ją inteligientki: „Gdy ja świsnę tylko — to przyleci z nożem, gdy będę chciała — to jucha popłynię”. W tej możliwości rozporządzenia ręką uzbrojoną w nóż, widziała szczęście — dar miłości.

Nie ulegało dla mnie żadnej wątpliwości, że H. w opowiadaniach swoich puszczała nieraz wodze bujnej fantazji, pozwalała sobie w opowieściach iść dalej niż prawda. Czasem robiła to rozmyślnie, celowo, sądząc, że tym zaimponuje nam, zainteresuje specjalnie. Z drugiej jednak strony czułam czasem, że przy wielkim swym cynizmie H. nagle zażenowała się własnym opowiadaniem. Spuszczała wtedy głowę, przebierała szeroko rękoma i nogami i widać było, że myśl jej usilnie pracuje, aby szybko znaleźć sposób zmieniienia tematu rozmowy. To samo zdarzało się stale, gdy usiłowano ją przekonać, że ma jeszcze taki szmat życia przed sobą, że może wieść je w innej, lepszej formie. Było wtedy tak, jakby dotykano bolącej rany na jej duszy i jakby ona broniła się przeciw dotykaniu tej rany.

Poświęciłam H. tyle miejsca, bo jedna z pomiędzy wszystkich poznanych przeze mnie dziewcząt bezwzględnie ona była najwięcej „kimś”. Czuło się w niej silną, indywidualność, dumę, siłę woli, inteligencję. Wszystko to życie spaczyło. Zapewne była to jedna z tych natur, które nie potrafią, się nigdy ułożyć w ciasne warunki obecnego życia — było w niej coś z burzy i z wichru, szamotała się dzika, nieokiełznana dusza, która jednak mogła wlecieć tak wysoko jak nisko upadła. H. musiała żyć w wirze walki. Życie nie dało jej duszy radości rzeczy pięknych i miłości godnych, — nauczyło tylko pogardzać i nienawidzić; przymusem zaś zwalczając szamocące się w niej zło, nie pozwoliło mu wyrazić się w twórczej potędze dobra, w bohaterskiej walce ducha, — złamało ją i pchnęło na dno.

przyprawiono do cel politycznych nowe aresztantki; H. pospieszyła z pomocą przy instalowaniu się, przyniosła sienniki z odległego składu; śmiała się, że zapracowała sobie „na wódkę” — ale gdy nie znające jej „polityczne” naprawdę chciały jej ofiarować monetę za przysługę, H. obraziła się i nie przyjęła wynagrodzenia.

Inna scena osobiście miłe zostawiła mi wspomnienie.

Miałyśmy w celi pęk czerwonych gwoździków — te jaskrawe kwiaty zachwyciły H. Na moją prośbę, aby wzięła sobie jeden, zrobiła to z wielką radością, mówiąc wesoło do towarzyszek, że pošle ten kwiat kucharzowi na etapowym więzieniu. Słyszając to, prosiłam, aby wzięła drugi dla siebie, bo jeśli ona pragnie zrobić kwiatem przyjemność kucharzowi, to ja chciałam, aby kwiat dał jej chwilę przyjemności.

Sądziła, że zrobiła mi przykrość, chcąc oddać coś, co ode mnie otrzymała. Przestała żartować, spojrzała na mnie serdecznie i poważnie podziękowała, mówiąc, że o oddaniu kwiatu mówiła żartem, że schowa go na pamiątkę; w tonie jej była wtedy szczerą chęć zrobienia mi przyjemności.

Według opowiadań H. pochodziła ona z rodziny średnio zamożnej. Starsze rodzeństwo jej otrzymało jakoby jakieś wychowanie i naukę — ona tylko po śmierci matki była zaniedbaną. Ojciec miał „kochanicę”, „niby macochę”. O ojcu i jego kochance mówiła z gwałtowną, zawziętą nienawiścią. H. początkowo pracowała w fabryce, po tym „na złość ojcu poszła na róg” — stając zawsze w okolicach, gdzie ojciec zamieszkiwał, „aby mu wstyd robić”. Gdy ojciec raz wyjechał na dłużej z Warszawy, wróciła na dwa miesiące do fabryki, ale gdy mówiono ciągle o jej poprawie, „złość ją porwała” — wróciła do poprzedniego życia. Życie to uważała za bardzo ciężkie; „gdyby nie wódka wytrzymaćby nie można”. Dnie całe spała i piła, by w nocy móc pić... i pracować. Jedną z moich towarzyszek, gorąca zwolenniczka anty alko-holizmu (pokutująca za tę ideję w areszcie ratuszowym) próbowała H. przedstawić szkodliwość alkoholu — rzuciła między innymi zapytanie, czy H. chciałaby aby jej córka tak piła. „Gdyby moje dziecko miało być takie, jak ja — roztrząskałabym mu głowę. Moje dziecko musiałoby być takie, jak ja sobie myślę”. H. miała w duszy ideał człowieka; miała marzenie dla swojego dziecka.

H. obracała się w sferze nożowników. Opowiadania jej były też nieraz straszne. Brat jej, robotnik przy budowie III mostu, został „zażgany od nasłanych przez macochę”. Dziewczyna odgrażała się, że macocha zginie przez nią „za brata”. Żalu jednak po bracie nie można było wyczuć, była dzika nienawiść do tej macochy.

Inna dziewczynka, dziecko nieledwie (16 letnia), po sztucznym poronieniu leżała w szpitalu, skąd na żądanie matki policja ją zabrała, aby odstawić nieletnią pod dach rodzicielski. Dziewczyna była jeszcze chora, miała ciągły krwotok, i wchodzenie na wysoką pryczę wzmagało męczące ją ciągle bóle. Mimo takiego stanu, w oznaczonym dniu poszła na etap. Śliczne, delikatne, ciche, nieśmiałe dziecko, za najmniejszą przysługę, za dobre słowo dziękowała smutnymi, zmęczonymi oczami. Miała na sobie karakułowy żakiet, jedwabną bluzkę i w kieszeni 3 kop. na drogę, 3 kop. o których mówiła: „mam trochę pieniędzy na drogę”.

Przez kilka tylko godzin były w ratuszowym areszcie, (przeniesione zaraz do więzienia przy ulicy Spokojnej) młode dziewczynki żydowskie, aresztowane w tajnym domu publicznym. Rano zbudziła nas starsza żydówka prostytutka, prosząc o radę dla świeżo przyprawionych do aresztu dziewcząt „porządnych dzieci”, które nie wiedzą, za co je aresztowano. Z rozmowy z nimi rzeczywiście zdawało się, że z wyjątkiem jednej, reszta to nierozumiejące jeszcze życia dzieci, pchnięte przez rodziców, czy starszych na dno. Zdawały się nie rozumieć jeszcze ani swego życia, ani swego położenia, ani czego od nich chcą, czym one względem społeczeństwa zawiniły. Na myśl im, ma się rozumieć, przyjść nie mogło, aby odwrócić pytanie: z obwinionych przez społeczeństwo—stanąć w roli oskarżających za swą krzywdę. Posłano te dzieci do więzienia na Spokojną. Dłuższy pobyt w areszcie policyjnym dokończy na pewno ich wychowania.

V. Prostytutki.

Wielki procent aresztowanych (plus—minus połowę) stanowią prostytutki. Aresztowane z różnych powodów, najczęściej za niewypełnienie przepisów reglamentacji: już to nie stawiły się w oznaczony dzień w komisji sanitarnej, chodziły nie po wyznaczonym im rewirze, nie posiadają biletu, urządziły po pijanemu awanturę z „gościem” lub policją itp. — wreszcie cały szereg pokutuje za popełnioną kradzież lub za towarzyszenie złodziejom. Jedne z nich odsiadują karę (tzw. odsiadkę), inne oczekują etapu, który odstawia je na miejsce urodzenia lub na „pobyt”.

Ogół tych dziewcząt zna ratusz i one są tu znane; nowicjuszek stanowią zwykle mały procent. Wieczorem, gdy cele zamknięte i cisza na korytarzu zupełna, co jakiś czas słychać otwierające się drzwi z pokoju dyżurnej, rozlegają się kroki nowej aresztantki („nowa dusza, do ratusza”). Rzadko kroki to

niepewne, potrzebujące wskazówek oddziałowej; prawie zawsze są to dziewczęta, które drogę tę już znają. Kto raz wchodzi do ratusza, wraca tu często. 22 letnia dziewczyna, pokazując na swoją gęstą czuprynę, mówiła: „Ile mam włosów na głowie, tyle razy siedziałam w ratuszu”. Sławna w areszcie Mańka Kalosz obchodziła już jubileusz: 50-ty raz siedziała w areszcie. Ucieka ona ciągle z „pobytu”, gdzie z żółtym paszportem pracy znaleźć nie może, musi wracać do Warszawy, musi kraść (patrz Konopnickiej „Pod prawem”). W ciągu tych dwóch miesięcy zdarzało mi się widzieć, że te same dziewczyny wracały do aresztu po 2, 3 razy, a spotkałam i takie, z którymi poznałam się na Serbji przed 9 laty lub w ratuszu przed 5 laty, a życie ich przez cały ten czas upływało między więzieniem i pobytem. Kto raz dostaje się z aresztu na pobyt, skazanym jest właściwie na dożywotnią, karę przymusowej kradzieży, aresztu i pobytu. Widać areszt i pobyt jako środek leczniczy na rany społeczne, nie są najskuteczniejszym lekarstwem.

Błądzą ci, którzy mówią o „duszy prostytutki”. Patrzymy zwykle na prostytutki, jakby wiązał je nie tylko zawód, ale nić pokrewieństwa duchowego, podobieństwo struktury duchowej, jakby stanowiły jeden typ duchowy „publicznej kobiety” — różnej zgoła od reszty ludzi. Tymczasem naturalnie jest tyle dusz, ilu ludzi. Spotykają się wśród nich te same i takie same typy, jakie spotykamy w innych sferach kobiet. Jedne są ciche i spokojne, inne burzliwe; jedne bierne, apatyczne, bez temperamentu; inne czynne, ruchliwe, podniecone; jedne szczerze i proste, inne sztuczne i fałszywe; jedne pokorne i uległe, inne dumne i zbuntowane; są i mile i wstrętne, dzikie i łagodne, szlachetne i podłe itp. Nawet w tych dziedzinach duszy, na których warunki ich życia najsilniej odbiły się mogły — typy są różne: jedne podniecone zmysłowo, inne bierne narzędzia; jedne cyniczne, inne nieśmiałe.²) Może to kogo śmieszyć, aleja wierzę, że wśród prostytutek obok perwersji i wyuzdania można spotkać czyste i niewinne dusze. Są tu wszystkie typy pośrednie aż do krańcowych: anielskiego i zwierzęcego. Wszystkie je dotyka wielkie nieszczęście, wszystkie dotyka wielka krzywda, ale każde nieszczęście inne, każda krzywda inna, tak jak każda dusza inna. Los swój przyjmują też rozmaicie: jedne nie rozumieją życia i niedoli swojej, inne są z nią pogodzone, tamte boleją, tęsknią do lepszej formy życia, jeszcze inne buntują się, walczą.

² Spotkałam w ratuszu młodszą prostytutkę o tyle wstydlivą, że myślała się w godzinach wcześniejszych, zanim inne aresztantki zaczęły spacerować po korytarzu. Inna była zrozpaczona szczerze, że aresztując posadzono ją o „nieprzyzwoitość”: podniesienie spódnicy w chwili, gdy przez ulicę przejeżdżał wyższy urzędnik policyjny. „Czyż mogłam być tak bezwstydną, przecież to hańba!

kim, wojen ze starymi nie prowadziła. Czasem nawet słabszym towarzyskom, nowoprzybyłym śpieszyła z doraźną pomocą. Zdawało mi się nieraz, że egoistycznych swych zapędów wstydziła się wobec nas, pokrywając zawstydzenie brutalnym śmiechem, lub udanym cynizmem.

Jeżeli towarzyszkom imponowała silną wolą, śmiałością, sprytem, to zwierchność jej bezpośrednia w więzieniu ulegała H. z innego powodu: bała się jej krzyków i awantur. Życie nauczyło H., że w jej położeniu broń to silna i posługiwała się nią często. Opowiadała nam niejednokrotnie jak w więzieniach, na etapach wywalczała sobie należne jej prawa, a nawet przywileje awanturami. Opowiadała np. jak, kiedyś w Łukowie w czasie okropnej niepogody, nie chciano dać jej miejsca na wozie, chciano gnać pieszo na miejsce przeznaczenia; H. podniosła na rynku wrzask, że iść nie może, że strażnicy ją biją; tak krzyczała, tyle narobiła hałasu, że zebrał się tłum; nie tylko nikt nie śmiałby jej tknąć, ale żądaniu jej pierwszemu uczyniono zadość. Historję tę H. opowiadała z dumą i zadowoleniem. W ratuszu czując się chorą, żądała, aby ją przenieśli do „separatki” (oddzielnej celi)—żądanie to popierała groźbą awantury. Celę oddzielną dostała. W dwa dni powróciła z niej uspokojona, zadowolona, twierdząc, że lubi czasem być w ciszy i samotności. Smutne jej życie przekonało ją, że spryt tylko to życie ułatwić jej może, szła tedy w życie ze sprytem, dumna z niego; dumna i szczęśliwa nie tylko wtedy, gdy sprytnie udało się jej uratować od nieszczęścia, uchronić przed krzywdą, lecz dumna i z tego, gdy sprytem udało się jej wywieść w pole, wyzyskać innych. Zdaje mi się, że w tej radości główną rolę grało nie zadowolenie ze zdobytego zysku, lecz radość ze swej siły. Cieszyła się, gdy „naciągnęła” kogoś na papierosy, opowiadając przy tej sposobności ciągle o swym „nabraniu”.

W stosunku do nas zrazu zachowała się odpornie, nawet wrogo, nie chciała np. przyjąć podawanego jej lekarstwa. Wkrótce zawarła z nami ściślejsze stosunki: przychodziła często załatwiać z nami interesy swych towarzyszek (nici, igły, mydło, papier, pisanie listów, lekarstwa itp.) lub wprost na pogawędkę.

Przyznaję jednak, że w stosunku jej do nas było coś dla mnie przykrego. H. czuła doskonale, że otaczamy ją pewną życzliwością, że ją wyróżniamy, nie mogła się jednak zorientować „dlaczego”. Często próbowała grać na nas swymi żartami, cynizmem opowiadań, zdawało mi się, że z właściwym jej sprytem szuka gruntu, szuka: co się podoba. Były jednak i ładne odruchy w tym stosunku. Gdy żyła się z nami, chętnie spieszyła nam z pomocą drobnymi przysługami (starannie pielęgnowała jedną chorą). Raz wieczorem

Dozorczynie więzienne niejednokrotnie nas zapewniały, że gdy „przyjdzie H.” nie będziemy śmiały wejść do IV celi. H. bano się w ratuszowym areszcie. W opowieściach wyglądała jak legendarny djabeł. Przyznaję, że oczekiwaliśmy z upragnieniem poznania się z nią. Zwiastował nam jej przybycie usłyszany na korytarzu obcy głos, bardzo hałaśliwy, o tonie bezwzględny, rozkazującym, po pijacku ochrypłym, głos wybuchający co chwila brutalnym śmiechem.

H. ma lat 22, gęstą rudą czuprynę, żywe bardzo, pełne wyrazu szare oczy, twarz dużą, bladą, nalaną, zmysłowe usta blade, bezkrwiste, ręce i nogi grube i ordynarne. W jej rozwichrzonej czuprynie i w oczach jest wyraz i życie, ale twarz i całe ciało robią wrażenie ciężkie, anemiczne, nabrzmiące, bez wdzięku. Usta pełne śmiechu i żartu, ale w jej uśmiechu i żarcie brak zupełnie wesołości, — jest coś robionego, cynicznego i trywialnego. Czulałam, że w duszy H. nie śmieje się nigdy.

H. ubrana jest niedbale, nieporządnie; całe dni chodziła bosa, roztarzana. Wychodząc na spacer na podwórze, ubierała się w eleganckie palto, czesała modnie rozwichrzoną czuprynę, wdziewała buciki na wysokich obcasach, ale w ubraniu tym ruszała się sztucznie, czuło się, że jest jej w nim nieswojo. Nie spostrzegłam nigdy, aby ubraniem chciała imponować innym, albo żeby jej ubranie strojne imponowało. Lubowała się tylko w czerwonym kolorze: bluzki jej, spódnice, wstążki, nawet włóczka, którą zawiązywała włosy, były czerwone. Opowiadała, że lubi, aby do niej pisywano listy na czerwonym papierze zielonym atramentem: „kolory nadziei i miłości”. (Pisać nie umiała, ale niechętnie przyznawała się do tego).

H. była wiecznie w ruchu, choć prawie nigdy nie robiła nic. Gdy rozdawałyśmy roboty, chwytala każdą, lecz po chwili rzucała lub kazała komuś robić ją dla siebie, (raz tylko widziałam ją pracującą dłużej, gdy żmudnie nawlekała długi sznurek drobnych paciorków... czerwonych). Nie widziałam też nigdy, aby brała udział w pracach około utrzymania porządku w celi — i nikt nie śmiał jej tego zaproponować. Czytania słuchała chętnie, biorąc udział w dyskusji, ujawniając przy tym dużo inteligencji i samodzielnego sądu.

W IV celi H. rządziła nieograniczenie; wszystkie towarzyszkki słuchały jej nie rozumując zupełnie. Nie należała do „panienek”, ale i te ulegały despotycznej władzy. W ogóle H. robiła wrażenie osoby stojącej oddzielnie, ponad tłumem.

Wpływu swego używała często na swoją korzyść, spokojnie wyzyskiwała inne, zabierając to, co jej się podobało; kazała sobie usługiwać, nie licząc się z nikim, zmuszała inne, aby stosowały się do jej woli. Nie kłóciła się z ni-

Jedną z cech względnie ogólnych u prostytutek (jak u większości kobiet) jest wielkie zamiłowanie strojów. Jaskrawa bluzka, chusteczka, wstążka, grzebień, świecidełko, nawet włóczka kolorowa wpleciona we włosy stanowi uciechę niemałą. Na strojną suknię towarzyszkki patrzą z zachwytem, korzą się przed jedwabną halką, której właścicielka nie jest już towarzyszką szarego tłumu, ale „panienką”. W ogóle klasowość, oparta na ekonomicznych warunkach, rozwinięta bardzo silnie i ściśle przestrzegana. „Panienki” lekceważą szary tłum — mówią o nim z pogardą, mało się z nim zadają. Trzymają się gromadką, siedząc lub leżąc obok siebie na siennikach, przy czym ustalili się zwyczaj, że zajmują one w celi najlepsze miejsce, koniec pryczy od strony okien, najjaśniejszy i najdalej położony od leżących na ziemi staruch.

Najmniej stykałam się z tą grupą i może dlatego właśnie nie udało mi się wśród nich zaobserwować objawów współczucia, solidarności z tak bliskim im jednak biedotą. „Panienki” zewnętrznie wyróżniają się strojem, sposobem życia (rozporządzając pieniędzmi, posyłają sobie na miasto po zakupy) — kultura ich jednak jest bardzo zewnętrzna, wiele z nich np. nie umie pisać, a w wybuchach gniewu, w obejściu codziennym są równie ordynarne jak najbardziej biedniejsze ich towarzyszkki.

Tak zwane „dziewczyny” czują się przeważnie czymś niższym od bogatszych swych towarzyszek zwykle są względem nich pokorne, usługowe, a nawet jeśli są dumne i lekceważące, to w dumie tej i lekceważeniu czuć właśnie poczucie różnicy klasowej. Same najczęściej głodne i obdarte, pyszną się wobec nie-prostytutek strojnymi towarzyszkami, ich elegancją, ich szczęściem. Raz wieczorem z dumą i zadowoleniem przyprowadziły do naszej celi (porozurując tę wizytę prośbą o nici) towarzyszkę, wystrojoną w jedwabną suknię, pokrytą wierzchem koronkowym. Nie tylko nie rozumiały naszej obojętności na ten strój, ale czułam to, że na razie miały żal, iż tak mało zainteresowałyśmy się nim, że żadna nie podeszła obejrzeć go bliżej, ocenić należycie. Przyznaję, przykro mi było po tym, że nie potrafiłam ucieszyć ich współczuciem ich radości, przykro mi było, że jedna z moich towarzyszek nazajutrz fakt ten wzięła za przedmiot do pogawędki umoralniającej.

Strój to jedyna ich radość życiowa!

Strojnissime żałując pięknej sukni do celi więziennej, często oddają stroje swe do przechowania oddziałowej, a siedzą przeważnie w bieliźnie i halkach, nie zdejmują jednak kolczyków, bransolet, świecideł, które zniszczeniu nie ulegają, a oczy cieszą. Z radością pożyczają od towarzyszek barwnych chusteczek, wstążek i błyskotek, aby się nimi choć przez krótką chwilę nacieszyć.

Z drugiej strony te same ozdoby stanowią najczęściej przedmioty kradzieży w IV celi. Raz tylko słyszałam sprawę o ukradzenie pieniędzy, czasem jedna biedota kradła drugiej koszulę lub spódnicę, ale najczęściej sprawy toczyły się o „zaginioną”: chustkę, wstążkę, grzebień, mufkę, woalkę itp.

A jednak, sama miałam takie zdarzenie: zginęła mi broszka, nie było jej kilka dni, pogodziłam się z tym. Gdy jedna z „dziewczyn” myła podłogę w naszej celi, (była w celi zupełnie sama) znalazłszy moją zgubę, zwróciła mi ją tak po prostu, naturalnie, że nie śmiałabym jej za to żadnym datkiem wynagrodzić.

Ogół dziewcząt „pracuje za ubranie i na ubranie”. Umowę z gospodyniami zakładów zawierają w ten sposób, że prostytutka otrzymuje od zakładu utrzymanie i ubranie, opłatę za jej pracę pobiera gospodyni (obsługują przeciętnie w ciągu nocy 5 gości). Tłumaczyły mi, że przy tym rodzaju umowy mogą się lepiej ubierać, bo gospodynie posiadają „zakładowe” ubranie eleganckie (dziewczęta ogólnie cierpią nędzę, nie mają nic, prócz długów). Nie czują, że tym sposobem nie dostają nic, oprócz tego, co ułatwia gospodynią ciążnienie z nich zysku. Wielokrotnie pisałyśmy do owych gospodyń w imieniu aresztowanych, skazanych na dłuższe siedzenie lub wysyłkę etapową, listy z prośbą o przyniesienie im bielizny na zmianę, ciepłej chustki itp. listy te najczęściej były bezskuteczne.

Od gości dziewczęta dostają bezpośrednio, do ręki „na cukierki” a właściwie przeważnie „na papierosy i wódkę”. Wszystkie bowiem palą i piją namiętnie, twierdząc, że bez tego podniecenia egzystować by nie mogły. Nie każdy gość daje „na cukierki”. Jedna z opowiadających zaznaczyła, że najlepiej płacą ci, którzy po grubijańsku się obchodzą i biją. (Sądząc z jej opowiadania, starała się to spostrzeżenie wyzyskać praktycznie). Największy zysk, zarobek w zawodzie prostytutki przedstawia łatwość okradania pijanych gości. Ogół aresztowanych za kradzież niechętnie o tym mówi, naicząściej pytane dają nieszczerze odpowiedzi, byleby uniknąć opinii „złodziejki”. Niektóre jednak mówiły śmiało i spokojnie o tym, że okradają. Jedna z poznanych przeze mnie dziewcząt, przy pierwszym spotkaniu naszym była bez grosza; za drugim razem, w kilkanaście dni później, miała 17 rb. Naiwnie zapytywałam ją, jakim sposobem aż tyle zarobiła. „Przecież ukradłam gościowi” odpowiedziała tak prosto, jakby to był najnaturalniejszy sposób zarobkowania. Krzywdzone i okradane ze wszystkiego, krzywdzą i okradają śmiało. W ogóle dla mężczyzn gości mają bezgraniczną pogardę, mówią o nich nie z oburzeniem, lecz z pogardliwym

tędy tłumaczyć O. szczerze, że jest za młoda, za gwałtowna na sprawowanie tak odpowiedzialnego urzędu. Na to nasze twierdzenie zgodziła się natychmiast — bez żalu, dobrowolnie złożyła zaszczytną godność, którą z taką radością obejmowała. W ogóle z pozoru ostra, gwałtowna, dała się jak dziecko prowadzić. Było to rzeczywiście dziecko, wesołe, śpiewające, uśmiechnięte, ruchliwe, wszystko traktujące jak zabawkę, a przede wszystkim pragnące się wszystkim podobać. Czarną swą główkę owijała czerwoną chusteczką, wpinając w nią jeszcze pożyczone świecidełka; szczyrzyła w uśmiechu zębki do mężczyzn — aresztantów, do strażników, do oddziałowych, do towarzyszek, do nas wreszcie. Bawiąc się krzyczała i rządziła; dla podobania się nam (platonicznego, bo nic od nas nie potrzebowała i nie brała), ścichła i złagodniała w stosunku do towarzyszek. Nieraz myślałam — o chwili, gdy dziecku temu otworzą się oczy, o chwili, gdy tragedja zarazy, wiszącej nad jej głową, stłumi śmiech.

Z., to młoda, 18-to letnia dziewczyna, od lat 3 prostytutka. Siostra cioteczna przywiozła ją z Żyrardowa do Warszawy „do służby”, a oddała do domu publicznego, w którym sama „pracowała”. Drobna, wątła, niedorozwinięta fizycznie, o nikłej, pospolitej twarzy, cicha, nieśmiała, wiecznie na usługach innych. Z. to jedna z tych biernych natur, które zawsze pójdą tam, dokąd ją pchną. Z zawodem jej łączyła ją tylko chęć ubrania się. Rozpytywała nas raz o teatr — skończyła tym, że żałuje, iż nie wstąpiła do teatru, bo tam łatwiej ładnie się ubrać. Z. z przerażeniem patrzyła w przyszłość, bojąc się zarazy. Czuło się, że łatwo bardzo porzuciłaby swój zawód, gdyby jej kto pomógł, sama jednak nie będzie miała sił i energii, aby to uczynić. Aresztowana na ulicy za to, że nie stawiała się kilka razy z rzędu w komitecie sanitarnym, miała być odstawioną do miejsca urodzenia. Biadała nad tym, co z sobą zrobić — nie miała ani grosza. „Pani” prowadząca zakład na listy Z. o przyniesieniu jej bielizny i kilku złotych na powrót do Warszawy — nie odpowiadała wcale. W Żyrardowie—do rodziców wstydzę się pójść, „bo jak im się pokaże?”. Z. umiała czytać i czytała chętnie; dziwnym przy jej braku inteligencji wydawało mi się upodobanie jej do poezji — „Piosenki” Konopnickiej, Asnyka podobały jej się lepiej niż powieści, a gdy raz dobrała się u nas do liryk Tetmajera — była nimi zachwycona.

W ogóle Z. było to małe, bezradne, głupie dziecko, bez temperamentu, bez inteligencji, bez możności zrozumienia i odczucia krzywd swoich życiowych. Ileż podobnych jej dziewcząt spotykałam w innych sferach, gdzie były cichymi, pocziwymi zerami...

Śpiew ten był wyrazem jej uczuć w tej chwili — ale jednocześnie był zemstą nad oddziałową.

Uważając, że dziewczynie stała się krzywda, że dozorczyńni postąpiła z nią niesłusznie, że przebywanie w karcu w zimną noc musi być dla niej straszne, zwracaliśmy się w tej sprawie do naczelnika. Obiecał nam uwolnić uwięzioną, byleby, gdy on przyjdzie wieczór, robić tzw „powierkę”, F. poprosiła go o to (inaczej, ze względu na powagę oddziałowej zrobić nie mógł³). Wiadomość tę podałam F. przez drzwi. Ale ona z dumą oświadczyła mi, że ponieważ ukarano ją niesłusznie, bo była delegatką i miała prawo „iść do naczelnika”, nie będzie ona o nic prosiła, ani za nic przepraszała — wreszcie, że ona nie jest takim tchórzem jak te, co ją wybrały a po tym się za nią nie ujęły. Spędziła tedy dzień i noc w karcu, a nazajutrz skończyło się tym, że myśmy za nią musiały poprosić. Wyszła z karcu z twarzą mocno zapuchniętą — zapewniała nas jednak, że to zwykle następstwo przebywania w zimnej bardzo celi. Przeniesiono ją do więzienia na Spokojną — tak, iż raz tylko widziałam się z nią. Wyglądała bardzo szaro. Fizjonomia jej nic nie mówiąca, zmieniła się od razu, gdy zaczęła mówić o minionej awanturze. Uważała, że spotkała ją krzywda od zwierzchności więziennej i od towarzyszek — szła naprzeciw niej z głową podniesioną, gotowa do walki.

O. młoda, mała, drobna, o czarnych, żywych oczach, zadartym nosku i bardzo krzykliwym głosie. W więzieniu była dobrze znaną i lubioną. W chwili, gdy do ratusza przyszła, wakował urząd „porządkowej”; powierzono go O. Zabrała się bardzo energicznie do nowych obowiązków, postanowiła zrobić porządek ze starymi, to jest te, które grzeszyły nieporządkiem, zaczęła wyrzucać na korytarz wiodący do „Dumy?”. Powstałe stąd krzyki i lament — sprowadziły nas na korytarz — i tu poznałyśmy naszą nową „porządkową”. Porozumiałyśmy się bardzo prędko: O. doszła do przekonania, że starych wyrzucać nie można. Energję swą zwróciła natychmiast w innym kierunku — postanowiła „sprawiedliwie” rozdzielić pracę więzienną (mycie, sprzątanie i t. d.), zapędzić wszystkie do roboty. I znów zabrzmiał korytarz bardzo hałaśliwymi rozkazami O., krzykiem i płaczem chorych i warjatek. Zaczęłyśmy

³ W tym miejscu zaznaczyć muszę, że obecny naczelnik więzienia jest człowiekiem, w stosunku do więźniów, uczciwym i ludzkim. Służbista, trzyma się przepisów więziennych, nigdy jednak osobiście nie utrudnia położenia więźnia, nie pogarsza jego niedoli. Przed 5 laty ratusz brzmiał wymyślaniami, uderzeniami służby, krzykiem i płaczem bitych więźniów, — teraz, przez ciąg mego dwumiesięcznego pobytu nie widziałam, ani nie słyszałam bicia, wymyślania więźniom przez zwierzchność więzienną. Ta sama służba pod innym naczelnikiem nabrała kulturalniejszego obejścia, bardziej ludzkiego — nauczyła się panować nad rękami i głosem.

lekceważeniem, nie tyle jako o złych, ile jako o głupcach. Ton ten uważam za powszechny; brzmi on tym silniej, im jednostka jest bardziej myśląca.

Sienkiewicz w „Bez dogmatu” opisuje jak damy należące do towarzystwa, miewają co dzień „godziny sali”, na podobieństwo fechtmistrza fechtują się w zakresie flirtu, by nie wyjść z wprawy. Takie same godziny a raczej minuty sali widziałam w życiu aresztantek ratuszowych. Wodę na herbatę, obiad i śniadanie przynoszą na oddział kobiecy mężczyźni aresztanci. Te kilka minut, w czasie których wydaje się jedzenie, to chwile rozrywki towarzyskiej dla dziewcząt. Korytarz wrze gwarem. Próżno oddziałowa woła „Prędeż, bez romansów!” nie romans ale rozmowa płynie. Jedne z aresztantek śpieszą na korytarz zobaczyć znajomych, inne zasięgnąć wieści o znajomych odsiadujących areszt o piętro wyżej. Czasem są to pytania ciekawości towarzyskiej, częściej niespokojne pytania o człowieka, z którym wiąże ją sentyment lub wspólna sprawa, większość jednak w rozmowach tych szuka rozrywki, flirtu. Flirt to mniej lub więcej gruby: żarty często trywialne, komplementy, od których cywilizowane uszy „wiedną”. Na te kilkuminutowe spotkania jedne z aresztantek stroją się — ubierając, inne stroją się — rozbierając, (była w areszcie dziewczyna, która cały dzień chodziła porządnie ubrana, w „godzinach sali” zjawiała się na korytarzu stale w wyciętej koszuli, strojna w bransolety i kolczyki, jak dama na balu, przy czym z krzykiem zawstydzenia uciekała, spotkawszy którą z politycznych).

Te flirtu korytarzowe dawały nam niejaki wyobrażenie o życiu towarzyskim w formach odmiennych od tych, które spotykamy w „salonie”, odmienne formą... ale treścią podobne.

Jedna z moich towarzyszek chodziła stale do IV celi czytywać aresztantom lub rozmawiać z nimi.

Chciała prowadzić śpiewy chóralne, ale na to zwierzchność więzienna nie pozwoliła. O ile mi wiadomo była to pierwsza próba tego rodzaju w ratuszowym areszcie, wywoływała też zdumienie wśród administracji. Co p. W. może „im” powiedzieć? O czym może „z nimi” mówić?

Część tylko aresztantek brała udział w tych posiedzeniach. Większość starych i chorych obojętna jest na wszystko; pewna grupa usuwała się z fałszywy duma, chcąc zaznaczyć swój pogardliwy stosunek do czytającej, rozmawiały w sali lub na korytarzu, głośno krytykowały ten nowy zwyczaj, pewna jednak liczba znajdowała w tych czytaniach przyjemność, rozrywkę o którą się po tym dopominały same. Odczuwały serdeczną dobroć z jaką p. W. szła do nich niosąc im swój czas, swoją wiedzę, swoje prawdy. Panna W. niet ylko czytywała, ale rozmawiała zazwyczaj o przeczytanej rzeczy, lub zbliżonych tema-

tach, czasem celowo przeprowadzała dyskusję jakąś, umiejętnie wciągając w rozmowę słuchaczki. Konkretnym rezultatem jej pogadanek higienicznych w IV celi było oderwanie zabitych okien i stałe wietrzenie celi. Co do wyboru książek czytanych, to wszystkie dyskusje przeprowadzone przez nas w tym kierunku były tylko teoretyczne; praktyka kazała korzystać z tych książek, jakie były pod ręką. Czytano tedy „Miłosierdzie gminy” Konopnickiej dwukrotnie dla dwóch grup, przy czym jedna ze starych kobiet domyśliła się z góry, jaką rolę odegra syn wobec ojca starego.

W Sienkiewicza: Bartku zwycięzcy podobał się humor.

Dalej czytano: Życie Jana Valjeana (przeróbkę z Nędzników, V. Hugo).

Sewera: Wiosnę.

Syrokomli: Spowiedź pana Korsaka, (słuchaczki nie od razu umiały się oswoić z wierszowaną formą i odmiennym językiem).

Konopnickiej; ulotne wiersze; Staffa i Pieśni o Zdobywcy słońca, (podo- bała się śpiewność) oraz, O łasce przebaczenia itp.

Silnie wierzę, że czytania takie dałyby wielu aresztantom jasne, miłe chwile w niedoli aresztu, a może czasem jasna myśl, jasne wspomnienie w życie by z nimi poszło.

Biblioteka więzienna — to sprawa pierwszorzędnej wagi.

Większość prostytutek niechętnie mówi z nie-prostytkami o swej doli. Wyjątkowo tylko *niepytane* skarżyły się na swoje życie, lub opowiadały o nim; najczęściej stosunkowo utyskują na biedę materialną, nie dotykając moralnej strony swego życia.

Spotykałam jednak jednostki jakby rozmyślnie rzucające nam w twarz swój cynizm.

Osobiście mało prowadziłam z nimi rozmów, słyszałam tylko rozmowy prowadzone przez moje towarzyszki, lub przez nie powtarzane. Poza tym patrzyłam tylko bacznie na życie więzienne i z wypadków tego życia odgadnąć się starałam tajnie duszy mieszkanek aresztu. Notatki moje dają mało faktycznego materiału z życia prostytutki, są to drobne spostrzeżenia robione nad *ludźmi* na tle życia więziennego. (Chciałabym nimi zwrócić uwagę na różnorodność typów psychicznych wśród prostytutek i na ich podobieństwo z typami spotykanymi we wszystkich sferach).

VI. Sylwetki.

Wśród dziewcząt, pożyczających od nas książki, jedna interesowała mnie specjalnie: ta, która ofiarowywała mi 200 rb. za umycie starej. Czoło miała jakieś jasne, szczere, obejście szlachetniejsze, spokojne, pełne godności, głos pewien siebie, w całym zachowaniu się—coś, czym panowała nad towarzyszkami. Przychodząc do nas do celi, zaznaczała swoje zamiłowanie do porządku, a nawet estetyki. O tym poczuciu estetycznym mówił sposób, w jaki się ubierała: ciemno a ładnie. Zawsze była czysto i względnie elegancko ubrana. Wybierając książki do czytania zaznaczała, że lubi specjalnie czytać powieści o rycerzach, bohaterach. Dawałyśmy jej zwykle książki historyczne. W godzinach obiadowych wychodziła na korytarz do mężczyzn, a nie biorąc udziału w flirtach, wypytywała o niejakiego K. Słyszając te pytania, ton, jakim mówiła, zrozumiałam jak głęboko ją ten K. obchodził. Wkrótce przypadkiem dowiedziałam się, że dziewczyna jest kochanka owego K, groźnego złodzieja i nożowca, znanego z zuchwalstwa.

Arcybaszew twierdzi, że wśród prostytutek, których zmysły są drażnione, gdy serce milczy, często zdarza się właśnie skłonność do idealizującej miłości. Nie umiem ocenić słuszności takiego ogólnego twierdzenia, ale u tej dziewczyny właśnie spostrzegłam silne uczucie połączone z rodzajem czci, uwielbienia dla ukochanego. Takiego tylko „rycerza”, „bohatera” udało jej się spotkać w życiu, dołą jego dzieliła w swoim odczuciu z podniesionym czołem. Była dumną z jego „bohaterstwa”.

F. polubiłam na niewidziane — zawarłyśmy bowiem znajomość przez zamknięte drzwi karcu. Rzecz się tak miała. Gdy kilka dni nie wyprowadzano aresztantek na spacer— przechadzały się po korytarzu więziennym (Avenue de la Douma). Dozorczyńni twierdziła, że takie spacerowanie są zabronione. Dziewczęta żądały, aby kilka z nich zaprowadzono do kancelarii „do naczelnika”. Wobec odmowy ze strony oddziałowej, wszczęła się kłótnia, wśród której jedna z dziewcząt rzuciła dozorczyńni obelgę: „Stara k... a”. Zelżona skazała ją za to drakońskim samowładnym sądem na 7 dni karcu. Dni były mroźne, w nieopalonym karcu było bardzo zimno. Służba więzienna chcąc doprowadzić F. do tego, aby się upokorzyła, straszyla dziewczynę wspomnieniem, że przed dwoma dniami w karcu leżał trup. F. nie ulękała się.

Stojąc na stanowisku, iż nie jest „karana”, lecz „krzywdzona”, weszła do karcu butnie, z pieśnią rewolucyjną na ustach. Przez kilka godzin korytarz brzmiał jej śpiewem: „Krew naszą długo leją kaci”...